12 stron

KUŹNICA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 10 zł.
(9 zł + 1 zł na Dom Słowa Polskiego)

CIASNE I PRZESTARZAŁE, UMARŁE LUB UMIERAJĄCE IDEE MORALNE I POLITYCZNE MUSI ZASTĄPIĆ JAŚNIEJSZY I BARDZIEJ PROSTY POGLĄD NA POCZĄTKI I CELE RODZAJU LUDZKIEGO

H. G. Wells

M. B. P. w Łodzi
Biblioteka Miejska Łódź Andrzeja 14.

Rok 2 | Łódź, 2 września 1946 r. | Nr 34 (52)

ADAM RAPACKI

Po rozmowie z przyjacielem z PSL

Odwiedził mnie dawny kolega i długoletni towarzysz pracy politycznej w obozie jeńców — obecnie działacz P. S. L. Łączyła nas kiedyś robota akademicka, potem spotkania w najgorętszych dniach walki z sanacją, wreszcie kilka lat niewoli — lat żywych pracą polityczną, niekończącymi się rozmowami, robotą redakcyjną w nielegalnym tygodniku demokratycznym.

Myśleliśmy wtedy jednakowo. Jednakowo nas zresztą, cały blok demokratyczny, tytułowano „ludowcami". Wszystkich: marksistów, ludowców, zradykalizowaną młodą lewicę sanacyjną, nawrócone odpryski ONR-u. Nasz program był „ludowy": chcieliśmy Polski ludowej — wspólnej Polski robotników,, chłopów i pracowników umysłowych. Chcieliśmy demokracji ludowej — którą bardzo wyraźnie odcinaliśmy od starej demokracji kapitalistycznej. Nasza demokracja miała być narzędziem prawdziwej władzy ludu — narodu pracującego — nad całym życiem narodowym. Miała to być demokracja p e ł n a: demokracja nie tylko w polityce, ale i w gospodarce i w kulturze. Miała to być demokracja z o r g a n i z o w a n a — a może lepiej organiczna, oparta na „Ruchu Ludowym", ruchu społecznym wszystkich pracujących wsi i miasta, na demokratycznych stronnictwach politycznych, na jednolitym ruchu zawodowym, na zjednoczonej spółdzielczości, na świadomym swej ustrojowej roli ludowym ruchu kulturalnym. Na tym wszystkim, co w jakiejkolwiek dziedzinie stworzył lud, by po swojemu rzeźbić życie, by tworzyć swój świat dokoła swojego własnego, ludowego ideału dobra narodu. Miała to być demokracja p r z o d o w n i c z a, dbała o wychowanie inicjatywy jednostki w służbie ludu.

My wszyscy „ludowcy" wspólnie przeorywaliśmy kamienisty grunt społeczny „Oflagu". Potem skończyło się. Wróciliśmy obaj wcześnie i zgłosiliśmy się na dawne posterunki ideologiczne — ja, jak przed laty do PPS — on, jak przed laty do PSL, który uważał za dalszy ciąg SL. Nie przychodziło nam wtedy (sierpień 1945 r.) do głowy, że się rozchodzimy. Obaj wierzyliśmy w dojrzałość Ruchu Ludowego.

Potem przyszło znane: wielkie nieporozumienie, sprawa bloku, walka i chwila obecna — chwila decyzji.

Niedawno spotkaliśmy się znowu. Charakterystyczna rozmowa. Przez dwie godziny dziwiliśmy się, że myślimy to samo. Przez dwie godziny przejęci byliśmy tym samym i wspólnym poczuciem odpowiedzialności za obecną chwilę — która — czuliśmy to obaj aż zbyt dobrze nie jest chwilą pierwszą lepszą. Ale kiedy zapytałem „co dalej?" — on rozłożył ręce i odszedł zatroskany i niepewny tą samą wielką niepewnością, która w tej parnej porze roku zalega nad krajem i paraliżuje wolę i decyzję.

Nie możemy się tak rozstać. Nie można już dłużej tak, jak to wśród polskiej inteligencji w zwyczaju: myśleć swoje, mówić brzmiąco, robić zawsze to samo, bez względu na okoliczności. A na zakończenie puchnąć dumą, żeśmy tacy.

My dwaj mówiliśmy przynajmniej to, co myślimy. I to już coś warte. Miałeś rację— bardzo nam dziś potrzeba szczerości. Ale to nie wszystko. Szczerości i prawdy potrzeba nam — bo potrzeba nam decyzji.

Dlatego piszę: Piszę szczerze wszystko co powiedziałem w tej rozmowie, co myślę, co, zdaje się, trafiało Ci do przekonania. Piszę to dla pamięci Tobie i tym, którzy czują i myślą u was podobnie do Ciebie.

Napewno nie przesądzam znaczenia mego zdania. Ale choćby znaczyło najmniej — jeśli cokolwiek znaczy — warto je rzucić na szalę, w chwili, kiedy na szalę idzie wszystko

Wybaczcie szczerość mych dalszych słów. Szczerość uważam za obowiązek.

Nie miejsce żalu o „nauki" — to nie są nauki. To są rady, do których jedyne prawo daje mi stara i naprawdę szczera przyjaźń dla chłopskiego ruchu ludowego w Polsce.

Poruszyliśmy przede wszystkim dwie sprawy, które, obawialiśmy się, mogły nas różnić: sytuację międzynarodową i sprawę demokracji w Polsce.

***

Sytuacja międzynarodowa. Postawiliśmy ją w dużym uproszczeniu: Anglia i Z. S. R. R. Obaj doszliśmy do wspólnego wniosku: sprzeczności są; wojna dyplomatyczna o pokój trwa i będzie trwała może jeszcze długo. Wojny zbrojnej nie będzie.

To jest pierwsze założenie. Założenie nie tylko realne, ale i jedynie twórcze. Bo, gdyby miało być naodwrót, gdyby znów się miała rozpętać gigantyczna wojna światowa, to co? Jaki pozytywny wniosek z takiego założenia dla nas, dla Polski, której udział w stratach byłby olbrzymi, udział w rozstrzygnięciu — praktycznie żaden.

Jakież twórcze wnioski na dzisiaj moglibyśmy wysnuć z takiej nietwórczej roli?

Nie będzie wojny, i dobrze, że nie będzie.

***

Jeżeli wojny nie będzie — to znaczy jakiś kompromis, jakiś podział stref bezpieczeństwa obu stron. A jeżeli tak — to nie może być takiego „kompromisu", który by włączył Polskę do anglosaskiej strefy bezpieczeństwa, tak samo, jak nie może być takiego „kompromisu", który by objął Belgię i Holandię strefą bezpieczeństwa radzieckiego.

Jesteśmy skazani przez rzeczywistość na współpracę ze Zw. Radzieckim.

To nie jest nowa prawda. To jest prawda dobrych paru stuleci. Ale dziś stanęła ona przed nami, jak nigdy wyraźnie.

***

W różnych okresach historii mogliśmy ten wyrok rzeczywistości rozmaicie przyjmować. Dzisiaj to nie jest dla nas tylko wyrok rzeczywistości. To jest nasza własna racja stanu.

Dlaczego? Co się zmieniło we wzajemnych stosunkach Polski z Z. S. R. R. w porównaniu z przeszłością?

Zmieniła się radykalnie rzecz zasadnicza: stosunek Z. S. R. R. do Niemiec.

Dopóki strona rosyjska z konieczności, czy z chwilowego interesu uznawała Niemcy za siłę polityczną o decydującej roli w Europie, dopóki musiała się z nimi liczyć, układać i dzielić wpływami — dopóty los Polski musiał się wahać między dwiema ewentualnościami: rozbiory albo buforowa wegetacja na pograniczu wpływów. Wegetacja o chwiejnej równowadze państwa na kółkach, przesuwanego zależnie od stosunku sił. Wegetacja w roli nieważnego pionka wielkiej gry europejskiej, bez możliwości wyboru stałej, wielkiej linii rozwoju dziejowego, bez możliwości samodzielnego rozwiązania najważniejszych zagadnień — zagadnienia narodowościowego, zagadnienia ludnościowego, zagadnienia budowy własnego organizmu gospodarczego.

Teraz Związek Radziecki powziął historyczną decyzję: postanowił przekreślić Niemcy, jako siłę polityczną w Europie. W chwili kiedy mogło nam grozić najgorsze — licytacja o niemiecką duszę między wschodem i zachodem, Związek Radziecki położył krzyżyk na Niemcach.

To nie jest decyzja koniunkturalna — koniunktura doradzałaby raczej politykę kokieterii. To jest decyzja dziejowa na zawsze.

Można by na parę lat stworzyć z Niemiec punkt niepokoju. Można by kokietować Niemcy, grać na niezadowoleniu mas niemieckich z wszelkiej okupacji, straszyć zachód widmem komunizmu niemieckiego i i ułatwić sobie pracę „liberalną" polityką na tzw. wschodzie niemieckim. I można by w ten sposób zdobyć niewątpliwe atuty w obecnej rozgrywce dyplomatycznej.

Ale Związek Radziecki wie dobrze, że silne Niemcy będą zawsze wrogiem nietylko Polski, ale tak samo Rosjan, Ukraińców i Białorusinów, Czechów i Jugosłowian. Że silne Niemcy nigdy nie będą socjalistyczne. Że silne Niemcy będą zawsze wylęgarnią wojny i niepokoju w Europie w imieniu własnym i w imieniu tych wszystkich, którym kiedykolwiek niepokój i wojna w Europie będą potrzebne.

Stąd pierwszy wniosek: Niemcy, jako siła polityczna, muszą zniknąć. Drugi wniosek: teraz, albo nigdy. I to jest ważniejsze od wszystkich doraźnych korzyści dyplomatycznych.

***

Konsekwencje tej decyzji są dla Polski zupełnie rewolucyjne w skali historycznej.

Pierwsza konsekwencja: żeby Niemcy były słabe na stałe potrzebna jest Związkowi Radzieckiemu na stałe silna i zaprzyjaźniona Polska. Silna, to znaczy suwerenna, jednolita narodowo, samodzielna gospodarczo z jasną linią rozwoju dziejowego przed oczami — oczywiście z piastowską zachodnią linią ekspansji.

Polska zaprzyjaźniona — to znowu znaczy suwerenna — to na dalszą metę znaczy: pozbawiona historycznych punktów zapalnych między nami i Związkiem Radzieckim.

Przedtem rozpalającego od wieków zagadnienia ziem wschodnich musiało być dla większości Polaków bolesne. Przed kim i po co to ukrywać? Ale wielkie decyzje historyczne muszą być bolesne. Wielka decyzja historyczna, to zawsze albo — albo, to zawsze — wybór, a wybór to rezygnacja z jednego na korzyść drugiego. Rezygnacja jest zawsze bolesna, zwłaszcza dla narodów nie lubiących decyzji — dla narodów, które, jak nasz, z niczego nie chciały zrezygnować i niczego nie umiały zdobywać. Musimy się nauczyć wielkich decyzyj — bo w polityce wielkość decyzji — jest synonimem poprostu wielkości. W naszym położeniu trzeba było się decydować, bo dwie linie rozwoju na wschód i na zachód jednocześnie to w naszym położeniu słabość i nonsens.

Stąd konsekwencja druga: ziemie zachodnie. Dla Zw. Radzieckiego decyzja „granice Polski na Odrze i Nysie"—oznacza: krzyżyk na Niemcach i na kokieterii wobec Niemiec, oznacza stawkę na silną Polskę, Polskę na zawsze wrogą Niemcom i wszystkiemu co za Niemcami stanie, Polskę opartą plecami o Z. S. R. R.

A dla Polski? Dla Polski ziemie zachodnie oznaczają wszystko. Oznaczają wielką decyzję historyczną, na którą czekaliśmy od wieków. Z ziemiami zachodnimi Polska przestanie być państwem mgławicy narodowościowej, geopolitycznej i gospodarczej.

Staje się żywym i zdolnym do życia, dojrzałym, zachodnio - europejskim organizmem państwowym z określoną linią rozwoju historycznego, z określonym miejscem i z określoną rolą w europejskim układzie politycznym. Z taką rolą, którą dyktuje nam i Czechom — całej zachodniej słowiańszczyźnie — nasze położenie państw zachodnio - europejskich — u boku Związku Radzieckiego. Położenie wpoprzek rzekomej „przepaści" między „wschodem i zachodem".

Ile są warte dla nas ziemie zachodnie — może ocenić w pełni tylko ten, kto ma jeszcze w pamięci beznadziejność statystyk przedwojennych. W granicach 1939 r. nie mogliśmy stać się wogóle nowoczesnym państwem. Byliśmy tak spóźnieni, że żadne realnie skalkulowane tempo budowy przemysłu nie tylko nie mogło pochłonąć przeludnienia wsi, ale nie mogło nawet zatrudnić na dłużej zwykłego przyrostu naturalnego. Nie mogły nas uratować żadne „kolonie" w Afryce, czy w „Europie wschodniej", jak się niektórym marzyło. Nie o ziemię chodziło. My musieliśmy dostać gotowy przemysł. Gotowe, chłonne miasta, nasycone kapitałem rolnictwo. Tym jedynym wyjściem stały się dla nas ziemie zachodnie.

***

Ziemie Zachodnie możemy utrzymać tylko w oparciu o ZSRR. Churchill nie jest tylko Churchillem, kiedy zgłasza swoje veto w stosunku do polskiego zachodu.

Jest wcieleniem całej tradycji politycznego myślenia imperializmu brytyjskiego. Myślenia kategoriami równowagi w Europie. Trudno nam przekonywać Anglików, że nie mają racji, bo kto wie, czy ze swego punktu widzenia napewno jej nie mają. Trzeba raczej przyjąć fakt za fakt i na faktach budować trzeźwy pogląd na sytuację.

Dopóki t a tradycyjna polityka będzie faktem, a nic tutaj nie zapowiada rewolucji — Niemcy dla Anglii będą cennym czynnikiem równowagi w Europie. — Bo kto poza nimi? Polska? Oczywiście, nie. Polska może być chwilowym atutem w grze, może być punktem niepokoju w wojnie nerwów, ale nie może być stałym, mocnym czynnikiem równowagi wobec ZSRR. I nie może być takim czynnikiem żaden blok słaby. Wiemy, co warte są bloki słabych. A więc tylko Niemcy. A jeżeli tak, to Niemcy muszą być siłą polityczną. W takiej kalkulacji oddanie ziem zachodnich Polsce, które było właśnie zasadniczym ciosem w siłę Niemiec, nie jest do strawienia. Jeżeli nawet trzeba się będzie na nie zgodzić — to z góry wiadomo, że gdyby doszło kiedyś do konfliktu — ziemie zachodnie byłyby w razie zwycięstwa Anglii pierwszą i minimalną zapłatą dla niemieckiego sojusznika. Że, po drugie, dla utrzymania zwycięstwa Niemcy, nie kto inny, musiałyby stanąć na granicy Związku Radzieckiego w formie takiego czy innego podporządkowania sobie Polski, choćby najbardziej „wynagrodzonej" na wschodzie.

***

Wniosek jasny i nieodparty: nasza racja stanu — to ziemie zachodnie, ze wszystkim co one znaczą w języku historii i ekonomii, i przyjaźń z ZSRR.

Trzeba sobie dobrze zdawać sprawę co to znaczy. Tu nie chodzi o chwilową grę na przetrwanie, o „konieczny tymczasowy kollaboracjonizm", jak pojmują naszą rolę krajowi najprzychylniejsi politycy emigracyjni.

Tu chodzi o wielką decyzję historyczną.

Przyjaźń z ZSRR — nie może być sprawą sentymentu, ani nieszczerych frazesów. Musi być rzeczywistością polityczną. Stawka na Polskę, zbawienna dla nas stawka, ma dla ZSRR o tyle tylko wartość, o ile Związek Radziecki będzie mógł naprawdę liczyć na Polaków. O ile będzie wiedział, że we własnym interesie będziemy prawdziwym zabezpieczeniem ZSRR od zachodu, nigdy zaś agenturą obcych i nam i ZSRR interesów.

W przeciwnym razie zależnie od okoliczności, przed ZSRR powstaną dwie alternatywy — powrót do stawki niemieckiej, albo bezpośrednie wzięcie obrony swoich interesów w swoje ręce. Kto z Polaków chce jednego albo drugiego? Chyba tylko opętańcy polityczni z zagranicznych sanatoriów.

***

To są podstawowe prawdy polityczne, które trzeba najjaśniej i bez mgieł widzieć i rozumieć.

Niestety, jak to zwykle bywa z wielkimi decyzjami historycznymi — ich świadomość dojrzewa powoli. Nie łatwo jest nowej prawdzie przełamać nałogi myślenia, sentymenty, frazesy — wyrosłe z prawdy starej.

Przełom w myśleniu narodu nie dokona się schlebianiem starym nałogom. Bez mgieł i bez niedomówień! Trzeba szczerze i jasno stawiać prawdę przed oczy. Tylko twardo stawiana prawda uczy myśleć w

chwilach przełomu i uczy niezbędnej w takich chwilach wielkości.

***

Chwiejność zawsze znajduje pod dostatkiem względów przeciw bezwzględności. Są względy taktyki, są względy polityki zagranicznej. Boimy się stracić sympatię Zachodu. Boimy się narazić Anglii.

Bez złudzeń. Zachód wie dobrze, lepiej od nas, jaka to jest nasza racja stanu. Zachód i tak na nas nie postawi. Kto uwierzy, że cokolwiek byśmy mówili, Anglia będzie wolała inwestować Śląsk i Łódź niż Essen czy Bohum pod własną kontrolą we własnej strefie okupacyjnej? Bez złudzeń.

Naszym najwyższym interesem jest pokój w Europie. Naszym najwyższym interesem jest zgoda między Anglią i ZSRR. Nasze położenie pozwoli nam do tej zgody dopomóc. Ale nasza chwiejność mogłaby jej tylko przeszkodzić. Zachęcać antyradzieckie elementy brytyjskie, drażnić i niepokoić ZSRR.

Nie wolno nam pozwalać sobie na prztyczki w nos Anglosasom. Ale nasza polityka musi być konsekwentna i jasna, szczera współpraca z ZSRR. Zasłony dymne i chwiejność — nikogo nie oszukają, prócz nas samych.

***

Drugim elementem chwiejności jest wątpliwość — czy ZSRR nie zmieni swej polityki w stosunku do naszych ziem zachodnich i w stosunku do naszych spraw wewnętrznych.

Ci, którzy tak myślą, nie rozumieją historycznej wagi decyzji ZSRR. Obie sprawy: ziemie zachodnie i nasza suwerenność wiążą się ściśle ze sobą i oznaczają właśnie decyzję zasadniczą Zw. Radzieckiego — przekreślenie koniunkturalnej stawki na Niemców i dziejowa stawka na Polskę.

Z tej drogi zasadniczej moglibyśmy sprowadzić Związek Radziecki my sami, niczym innym, tylko właśnie chwiejnością: przekonywując naszych sąsiadów, że na Polskę nie ma co liczyć. Nie dopuścić do tego, przekonać właśnie o czymś przeciwnym — to główne, co od nas zależy.

***

To wcale nie znaczy, że nie możemy rozmawiać z ZSRR, jak równi z równym. Że nie wolno nam stawiać i bronić żadnych, choćby najsłuszniejszych postulatów politycznych czy gospodarczych.

Wolno i trzeba. Tylko nie może dla nikogo, przede wszystkim dla nas samych nie może ulegać wątpliwości sama zasada ścisłej współpracy dziejowej. Reszta jest sprawą do choćby najzaciętszej dyskusji.

W obecnym układzie sił i stosunków więcej uzyska pewny sojusznik, niż chwiejny kandydat na nie wiadomo co.

Sprawa druga — demokracja w Polsce.

Demokracja. Za dużo się o niej mówi, za mało myśli. Czy w Polsce jest demokracja?

Nie. W Polsce jest rewolucja ludowa. Rewolucja ludowa niewątpliwie prowadzi do demokracji — ale nie jest demokracją, nie jest nią przede wszystkim w klasycznym, liberalnym sensie tego terminu.

Po pierwsze dlatego, że jest rewolucją.

Po drugie — bo wiedzie do demokracji ludowej, która będzie zgoła różna od klasycznej demokracji liberalnej — bądźmy dosadni — od demokracji kapitalistycznej.

***

Treść dni dzisiejszych — rewolucja ludowa — nie jest jeszcze demokracją ludową. Dlatego o demokracji ludowej warto „ad rem" powiedzieć tyle, ile służy wnioskom dla oceny chwili obecnej.

Demokracja ludowa będzie demokracją pełną. Nie była pełną demokracja kapitalistyczna, ograniczająca „władzę ludu" do dziedziny politycznej tylko, a więc praktycznie obracająca ją w iluzję.

Ustrój społeczny jest wtedy prawdziwym ustrojem, kiedy jeden sens społeczny panuje we wszystkich dziedzinach życia zbiorowego — w polityce, w gospodarstwie, w kulturze.

Demokracja kapitalistyczna póty była ustrojem społecznym zdolnym do życia, póki ten sam sens mieszczański, który organizował gospodarkę, który rzeźbił kulturę — dyktował wyborcom treść kartki wyborczej. Dopóki duch mieszczański skutecznie kształcił opinię mas — to znaczy dopóki nie doszły do świadomości i do głosu własne dążenia ludu. Od tej chwili władza polityczna — coraz częściej ludowa — powstawała przeciw kapitalistycznej i mieszczańskiej dyspozycji gospodarczej. Od tej chwili zasadnicza sprzeczność rozdziera ustrój demokratyczno - kapitalistyczny. Polityka wykrzywia działanie kapitalistycznego mechanizmu gospodarczego, potęga gospodarki kapitalistycznej demoralizuje politykę. To nie był ustrój ani kapitalistyczny, ani demokratyczny. To nie był żaden ustrój. Rozdarty, słaby, chwiejny — nie mógł żyć.

Z zasadniczej sprzeczności między kapitalistyczna gospodarką i demokratyczną polityką były dwa wyjścia: albo rozciągnąć władzę kapitału na politykę i odejść od demokracji — to był korporacjonizm faszystowski, albo rozciągnąć władzę ludu na gospodarkę — i odejść od kapitalizmu. To jest demokracja ludowa.

Demokracja ludowa kształci według dążeń ludu i politykę i gospodarkę i kulturę.

Władzę ludu w gospodarce trzeba budować mozolnie przez wielką reformę gospodarczą, która organicznie odda pierwszeństwo pracy nad kapitałem i ziemią, aż wszystkie procesy gospodarcze będą się same kształtować według dążeń pracujących.

Droga do kultury ludowej — jest jeszcze trudniejsza i dłuższa. To jest droga wychowania popartego jednoczesną przebudową gospodarczą i polityczną. A dopiero po przebudowie kulturalnej — po przebudowie człowieka, będzie można mówić o prawdziwej demokracji w gospodarce i w polityce. Dopiero wtedy będzie można wogóle mówić o demokracji ludowej.

Wniosek: o kalekiej demokracji kapitalistycznej w Polsce mówić już wogóle nie można. A demokrację ludową trzeba dopiero zbudować.

Demokracji ludowej nie wyczaruje cudem z urny kartka wyborcza. Trzeba ją zbudować od fundamentów, aż po wiązania. Wtedy dopiero demokracja polityczna będzie prawdziwą demokracją, a wybory — wyborami prawdziwie demokratycznymi.

Kto i jak ma tę demokrację ludową budować. To jest kluczowe pytanie na dziś. — Odpowiedź leży w treści rewolucji ludowej.

***

Rewolucja — nie pałacowy przewrót — wielka rewolucja ustrojowa — nie jest żadną z dwóch rzeczy, które się o niej potocznie myśli.

Po pierwsze — nie jest „zniszczeniem starego ustroju", a przynajmniej nie jest zniszczeniem treści starego ustroju.

Po drugie nie jest samym przewrotem politycznym.

Rewolucja nie niszczy treści starego ustroju, — przeciwnie — rewolucja jest konsekwencją rozkładu starego ustroju.

Przewrót polityczny nie jest jeszcze rewolucją. Uchwycenie władzy politycznej przez nowych ludzi, a przede wszystkim przez nowe siły społeczne — może być najwyżej wstępem do rewolucji — jej warunkiem

Rewolucja jest łańcuchem reform społecznych, których sens sprowadza się do przebudowy starych form, z których uciekło już życie, i do przebudowy świadomości, która wyrosła na tle minionego ustroju.

Formy ustrojowe — polityczne i gospodarcze trwają dłużej niż ich sens społeczny. Jeszcze oporniejsza jest świadomość ludzka wyrzeźbiona współżyciem z minionym ustrojem.

Każdy zdrowy ustrój opiera się na ścisłym związku materialnej rzeczywistości, form politycznego i gospodarczego władania, myślenia i czucia ludzkiego.

Każdy ustrój wychowuje sobie człowieka. Materialna rzeczywistość zmienia się szybko. Ludzkie myślenie, a tymbardziej czucie — o wiele wolniej.. Człowiek musi mieć czas na wyciągnięcie wniosków z zachodzących zmian i musi jeszcze więcej czasu upłynąć, zanim się z nimi pogodzi uczuciowo.

Ustroje społeczne rozkładają się. Świadomość ludzka, przez nie wychowana, trwa pogrobowo jeszcze jakiś czas. Wraz z nią trwają formy do których człowiek się przyzwyczaił, choć uciekło z nich życie, bo uciekła z nich materialna treść.

W takim okresie świadomość ludzka ogromnej części społeczeństwa jest w opozycji do rzeczywistości i to w opozycji bezpłodnej, bo niezdolnej do przywrócenia życia umarłemu ustrojowi.

Takie jest tło każdej wielkiej rewolucji.

***

Kto przeprowadza rewolucję? Oczywiście ludzie, ci ludzie, których świadomość najszybciej zareagowała na zmiany rzeczywistości. Którzy najszybciej pojęli sens tych zmian, wyciągnęli z nich wnioski rozumowe i uczuciowe, stworzyli obraz nowego ustroju, zdolnego do życia w nowej prawdzie.

To nie znaczy najzdolniejsi. To nie znaczy najbardziej wykształceni. To znaczy przede wszystkiem ci, którzy najprędzej, nieraz jeszcze przed całkowitym rozkładem — doznali pierwszych krzywd starego ustroju. Ci jednocześnie, którzy mieli najwięcej niezależności myśli i charakteru, by oprzeć się zorganizowanemu działaniu wychowania, propagandy i gospodarczego nacisku tego ustroju.

Świadoma i aktywna część tych warstw upośledzonych, które historia wyznacza na podmiot nowego ustroju — to jest elita rewolucyjna w okresie przełomu.

Tylko te siły liczą się w okresie rewolucji. Tylko one mogą być podmiotem. Wszystko inne — wszystko niedojrzałe psychicznie nie liczy się.

Ich świadomość jest bezpłodna w nowej rzeczywistości. Reprezentują siłę bezwładu w chwili, kiedy trzeba działać szybko i śmiało. Muszą się dopiero dostosować psychicznie do nowego życia, muszą pojąć sens zmian. Do tej chwili muszą być tylko przedmiotem rewolucji.

***

Czy elita rewolucyjna jest mniejszością, czy większością?

To już zależy od dojrzałości społecznej narodu. Narody o wysokiej kulturze społecznej, rozumiejące związki ustrojowe, szybciej pojmują sens zmian, szybciej się do nich dostosowują, prędzej i lepiej przewidują.

Te narody prędzej i liczniej produkują „elitę rewolucyjną", a elita rewolucyjna prędzej i łagodniej może przeprowadzić rewolucję — przebudowę form i przebudowę świadomości reszty.

W takich narodach rewolucja może się dokonać nawet „w świetle prawa" i za aprobatą arytmetycznej większości parlamentarnej.

***

Na ogół jednak rewolucja nie może być popularna. W chaosie i w nędzy kryzysu ustrojowego może być popularny sam przewrót polityczny, jak każdy przewrót wśród powszechnego niezadowolenia.

Ale rzadko bywają popularne rewolucyjne reformy. Bo i one, nim dadzą rezultaty — a pełne rezultaty mogą dać dopiero po przebudowie psychicznej — dokonywują się wśród nędzy i cierpienia.

Bo, po drugie, uderzają we wszelką tradycję, w nałogi myślenia i czucia.

***

Rzecz w tym: popularna, czy niepopularna, rewolucja musi się dokonać.

Rewolucja nie jest pomysłem — jest procesem społecznym, na który nie ma rady, kiedy rozkłada się jeden ustrój — i musi przyjść nowy. To raz.

Dwa: mogą jej dokonać tylko świadome nowej rzeczywistości siły społeczne. Reszta — liczna, czy nie liczna — nie liczy się, bo poza oporem — nigdzie nie prowadzącym — do niczego nie jest zdolna.

W tych warunkach nie ma faktycznej równości politycznej wszystkich. A zatym nie można brać pod uwagę prawa liczby — podstawy klasycznej demokracji.

W okresie rewolucji — póki nie dojrzeje świadomość ogromnej większości jednostek z pośród klas zdolnych do życia w nowym ustroju — arytmetyczna zasada klasycznej demokracji może tylko prowadzić do opóźnienia i obciążenia krwią i cierpieniem tego, co i tak przyjść musi, bo powrotu w nicość nie ma.

Powtarzam: w rzeczywistości rewolucyjnej liczą się tylko siły rewolucyjne. Tylko one rzeźbią rzeczywistość. Kto chce być rzeźbiarzem nowego świata — musi się stać siłą rewolucyjną.

***

Podmiotem rewolucji ludowej jest świadoma część ludu. Mniej więcej oznacza to tych wszystkich ,którzy stanęli do pracy w społecznym ruchu ludowym: w partiach ludowych, w świadomym ruchu zawodowym, w świadomym ruchu spółdzielczym, w ludowym ruchu kulturalnym. To są siły świadome, to są siły twórcze. Reszta — to kandydaci.

Im prędzej, im liczniej, im bardziej świadomi staną w szeregach ruchu ludowego — tym krótsza będzie rewolucja, tym bliższa demokracja.

***

To nie jest teoria dyktatury proletariatu. To nie jest, przede wszystkim, teoria — tylko życiowe prawo rewolucji. Po drugie nie chodzi tu o dyktaturę proletariatu miejskiego. Jeżeli się mówi o „ruchu ludowym", to mówi się zarówno o robotnikach, jak i chłopach, jak i pracownikach umysłowych, czy rzemieślnikach. Udział w przodującej grupie rewolucyjnej wyznacza nie pochodzenie, ale świadomość przemian i rozmach twórczy.

I tutaj jest sedno sprawy rewolucji polskiej — od samych chłopów, od ich świadomości i dynamiki rewolucyjnej zależy ich udział w elicie rewolucyjnej.

Nie liczba — świadomość i rozmach dają prawo do kształtowania życia w chwilach rewolucji.

Albo — oby tak się stało — chłopi staną się wraz z robotnikami świadomą siłą rewolucyjną — podmiotem rewolucji i razem będą rzeźbić życie, albo zejdą do roli przedmiotu — niezadowolonego niezadowoleniem najgorszym, bo bezpłodnym dla przyszłości.

A tedy — na nieszczęście chłopów i na nieszczęście Polski — na nieszczęście demokracji — zostaną i będą robić rewolucję sami robotnicy.

Bo ktoś ją musi kiedyś zrobić. I dlatego właśnie napisałem „na nieszczęście", bo sami robotnicy robiliby tę rewolucję dłużej, kosztowniej i gorzej — niż robotnicy razem z chłopami i wszystkimi pracującymi. Bo pragnę demokracji wszystkich pracujących w Polsce. Nie tylko demokracji robotniczej.

***

Polska rewolucja ludowa stoi przed zadaniem szczególnie trudnym.

Jeżeli rewolucja ma przebudowywać świadomość będącą w bezpłodnej opozycji do rzeczywistości — to ma w Polsce do czynienia ze świadomością szczególnie oporną wobec argumentów realizmu. To jedno.

Rewolucja polska nie jest tylko rewolucją społeczną — jest rewolucją dziejową jednocześnie. Ma przed sobą nie tylko nawyki starego myślenia społecznego, ale i nawyki myślenia dawnymi kategoriami polityczno - historycznymi. My wiemy, jakie one są silne, te nawyki. To drugie.

Trzecie: rewolucje nie wybuchają w okresach świetności gospodarczej. Przeciwnie — z natury rzeczy wybuchają w głębi kryzysów gospodarczych. Ale rewolucja polska startuje w warunkach bezprzykładnej ruiny, której nie znały chyba żadne inne rewolucje.

Nie przebudowę, ale budowę od nowa bierze na swe barki. Po starym ustroju nie odziedziczyła nic, prócz oporu pogrobowców. Tym trudniej jej być „popularną".

A wreszcie jeszcze jedna polska osobliwość: Przewrót polityczny nie jest rewolucją społeczną, ale bywa jej startem i to startem ważnym. Wstrząs, który mu towarzyszy — jest startem dla przemian psychicznych społeczeństwa.

Zaznacza wyraźną granicę między starą i nową rzeczywistością, proklamuje rewolucję pobudza do uwagi biernych, rozpala entuzjazm zespołu rewolucyjnego. Polska rewolucja była rewolucją bez wstrząsu. Jak t. zw. „rewolucja" majowa była „rewolucją bez rewolucyjnych konsekwencyj" tak o obecnej rewolucji można by powiedzieć, równie wąsko używając rzeczownika „rewolucja", że są to rewolucyjne konsekwencje, bez rewolucji.

Ilu ludzi jeszcze dziś nie wie, że w Polsce jest rewolucja? I jeszcze dziś duża część społeczeństwa żyje w urojonym powrocie do roku 1939, albo, co gorsza, w urojonym dalszym ciągu okupacji.

Dystans psychiczny społeczeństwa polskiego od nowej rzeczywistości jest większy, o wiele większy, niż dystans, który miała do pokonania kiedykolwiek jakakolwiek rewolucja.

A w dodatku, sam ustrój, który budujemy, jest ustrojem słusznym życiowo, ale właśnie dlatego o niezbyt rewolucyjnych pozorach. Zmiany gospodarcze są bardzo głębokie, ale poza rewolucją rolną — niepozorne. Co nowego widać w gospodarce polskiej z chodnika ulicy Marszałkowskiej? Komu przemawia do wyobraźni zastąpienie zarządem państwowym dyrekcji wielkiej spółki akcyjnej? Ludziom bezmyślnym — nie bardzo.

Wstrząs i kontrast — dwa elementy, którymi inne rewolucje zrywały na nogi wyobraźnię mas — chybiły w rewolucji polskiej.

Dlatego — nie ma co ukrywać — przodujący zespół rewolucyjny jest ciągle nieliczny, siły bezwładu duże i zatwardziałe.

***

Jaki stąd wniosek? Dwa wnioski: pierwszy: prawa rewolucyjne, wyrastające ze sprzeczności między nową rzeczywistością a spóźnioną świadomością w polskich warunkach, są twardsze jeszcze.

Drugi wniosek: ruch ludowy w Polsce musi sobie szczególnie jasno zdawać sprawę ze swych rewolucyjnych zadań i szczególnie jasno stawiać je przed całym ludem. Rewolucja musi mieć, oczywiście, swoją taktykę wychowawczą. Uderzenie pałką w łeb jest rzadko tylko skutecznym zabiegiem pedagogicznym.

Można i trzeba pozostawić na boku natarcia na drugorzędne anachronizmy i kompleksy. Ale żadna rewolucja nie zwyciężyła chwiejnością na głównych szlakach swego pochodu.

Istotne prawdy nowej Polski trzeba tłumaczyć jasno, twardo, bez schlebiania nałogom, bez dawania pardonu nadziejom na powrót tam, gdzie już nic nie ma — w przeszłość.

***

Tak widzę prawdę obecnej Polski.

Streszcza się ona w kilku faktach i jednym wniosku:

Fakt pierwszy: Polska weszła w głęboką rewolucje dziejową i społeczną.

Fakt drugi: bez przeprwadzenia tej rewolucji nie można sobie wyobrazić trwałego bytu Państwa Polskiego w nowej rzeczywistości europejskiej.

Fakt trzeci: bardzo znaczna cześć narodu tkwi w stanie opóźnienia psychicznego, jest obca rzeczywistości i obca pojęciu nowej Polski.

Wniosek: odpowiedzialność za przeprowadzenie rewolucji i za przyszłość Polski spada na świadomy ruch ludowy. Jest to jedyna w Polsce siła politycznie twórcza. Tylko ona nada zdolny do życia kształt przyszłej Polsce.

Albo — ciemność.

(Dokończenie w nr. następnym)

JAN KOTT

Tydzień paryski

8.VIII. 46.

Rok temu, pamiętam, bawiliśmy się w konferencję pokojową. Było to w Krakowie, po jakimś przyjęciu w kawiarni plastyków. Późno w nocy, w pustej sali zostało tylko parę osób. Prof. Hubert wszedł na podium i z niezamąconą powagą wygłosił po francusku powitalne przemówienie: Monsieurs le President, Messieurs! La guerre ce n'est pas la paix. Et la paix, Messieurs ce n'est pas la guerre.". Tak pół godziny. Kiedy dziś, z zawieszonej u sufitu Pałacu Luksemburskiego trybuny dla prasy słucham przemówień powitalnych reprezentantów dwudziestu jeden narodów, wydaje mi się, że słyszę ciągle głos prof. Huberta: „La guerre, Messieurs, ce n'est pas la paix." Po francusku, po rosyjsku, po angielsku. Niezmordowani tłumacze podają sobie kolejno mikrofon. Te same słowa powtarzane są w trzech oficjalnych językach Konferencji Pokojowej. Nie, to nie jest Konferencja Pokojowa. To tylko

M. G. Bidault

„Konferencja Paryska 1946". Pokój wyobraża jedynie filuterny gołąbek z gałązką oliwną w dziobku na niebieskim tle, symbolizującym glob ziemski. Taki maleńki znaczek noszą w klapie delegaci i dziennikarze.

Bez złudzeń to nie jest Wersal. Dwudziestu jeden delegatów dwudziestu jeden państw, które wygrały wojnę, zebrało się, aby przedyskutować pięć traktatów pokojowych, opracowanych przez Radę Ministrów Spraw Zagranicznych Wielkiej Czwórki. Sprawa Niemiec nie wejdzie na porządek dzienny obrad Konferencji Paryskiej. Dekoracja jest wspaniała, policjanci francuscy dostali białe mankiety i rękawiczki. Pałac Luksemburski upstrzony jest flagami. W lożach przeznaczonych dla dyplomacji i „visiteurs de marque" siedzą najwspanialej ubrane kobiety Paryża. Ale wszyscy zdają sobie doskonale sprawę, że to tylko prolog, wielka generalna próba przyszłej Konferencji Pokojowej.

„La paix, Messieurs, ce n'est pas la guerre." Niewątpliwie. Obok mnie Chińczyk w ogromnych okularach amerykańskich przegląda poranną gazetę. Na pierwszej stronie ogromny tytuł: „Walka lotnictwa greckiego z partyzantami". I dalej petitem: „Cztery bombowce i wiele myśliwców typu Spitfire bombardowały stanowiska powstańców na Olimpie. W akcji wzięły udział czołgi. Greckie Związki Zawodowe ogłaszają 24 godzinny strajk protestacyjny". Bogów greckich zastąpili na Olimpie partyzanci. Czy znajdą Hefajstesa, aby wykuł im broń przeciwlotniczą. Z trybuny mówców przemawia premier Konstantyn Tsaldaris. „Grecja potężna i szczęśliwa — mówi — stanie się jednym z najbardziej trwałych bastionów pokoju, na który możecie z całą pewnością liczyć w chwili niebezpieczeństwa." Klaszczą delegaci Nowej Zelandii i Australii.

„La paix, Messieurs, ce n'est pas la guerre." W press-roomie agencja Paramountu zaprasza dziennikarzy na pokaz nowego amerykańskiego filmu, przedstawiającego wybuch bomby atomowej na Bikini. Tego samego dnia gazety podają wiadomość, że prof. Artur Compten, jeden z wynalazców bomby atomowej, przerażony skutkami swego odkrycia, rezygnuje z pracy naukowej i zamierza poświęcić się wyłącznie roztrzasaniom zagadnień moralnych. Tuż pod tą wzruszającą wiadomością umieszczono wspaniałą fotografię — największy fryzjer Hollywoodu wynalazł nową fryzurę Bikini. Rozwichrzone loczki, naśladować mają pieniastą chmurę, jaka wzniosła się po wybuchu bomby. Bardzo wesołe. „La paix, Messieurs, ce n'est pas la guerre".

Na sali delegaci nudzą się coraz wyraźniej. Z góry widać wyraźnie jak delegat Abisynii we wspaniałym turbanie, rozwiązuje krzyżówki. Bidault porządkuje po raz trzeci papierki w portfelu. Wielka komedia trwa dalej.

To nie jest Wersal. W roku 1919 ogromne tłumy gromadziły się na Polach Elizejskich, aby oklaskiwać delegatów, udających się do pałacu królewskiego. Dziś tylko kilkunastu gapiów zbiera się codziennie na chodniku, aby podziwiać limuzyny ministrów i dziennikarzy. Z Wersalem miliony istnień ludzkich wiązały nadzieje nadejścia epoki sprawiedliwości, pokoju i dobrobytu. Bez entuzjazmu i bez złudzeń zaczęły się obrady **Konferencji Paryskiej 1946.** Ponad ogromnym stołem przewodniczącego trzy posągi wyobrażają Rozsądek, Siłę i Prawdę. Dwudziestu jeden delegatów dokonać musi wyboru. Padają z trybuny wielkie słowa: pokój, demokracja; wolność i moralność. Różnie brzmią te słowa w trzech językach Konferencji. Ale jest jedno słowo, które pada najczęściej i we wszystkich językach ma jedną i tę samą treść. Słowem tym jest rozsądek. Dwudziestu jeden delegatów jednomyślnie wybrało z trzech alegorycznych posągów **rozsądek** na opiekuńcze bóstwo Konferencji. „Z trzeźwym i rozsądnym optymizmem oczekujemy wyników obrad" — powiedział w mowie powitalnej delegat Czechosłowacji, minister Masaryk. To przemówienie było najgoręcej oklaskiwane.

Ale obok słowa **rozsądek** jest jeszcze drugie słowo, które we wszystkich językach dla milionów ludzi ma jedną i tę samą treść. To słowo niezmiernie rzadko pada z ust delegatów dwudziestu jeden państw. To słowo wypowiedział delegat Polski. Tym słowem jest faszyzm.

9.VIII. 46.

Na przystanku autobusu, tuż obok niedawno otwartej wystawy dzieł sztuki francuskiej, skradzionych przez Niemców, rozmawiam ze starą Francuską. „To są głupcy — piszczy machając parasolką — kraść, kiedy przegrywali to idiotyzm. S'ils etaient raisonnables, gdyby mieli trochę rozsądku, zaczekaliby aż zwyciężą. To byłoby zupełnie co innego. „C'est pas raisonnable" — ciągle to słyszę w Paryżu. Od pokojówki, która mi sprząta pokój, od reportera z jakiegoś brukowca, z którym zaprzyjaźniłem się na Konferencji, od szofera, który wiezie mnie do teatru.

W Paryżu martwy sezon. Pisarze i politycy wyjechali na urlopy. Większość teatrów jest zamknięta. Z rozpaczy idę do teatru Hebertot, gdzie od wielu miesięcy grana jest z niesłabnącym powodzeniem sztuka Johna Steinbecka „Myszy i ludzie".

Bardzo są oporni Francuzi na literaturę zagraniczną. Tylko wielcy powieściopisarze rosyjscy uzyskali tutaj trwałe obywatelstwo. A naprawdę może jeden Dostojewski. Conrada Francuzi nigdy nie chcieli czytać, ani Chestertona. Shaw jest prawie nieznany. Nie umiem natomiast sobie wytłumaczyć ogromnego wpływu nowej powieści amerykańskiej. Steinbeck i Hemingway są ciągle tłumaczeni. Pełno o nich studiów w tygodnikach i miesięcznikach literackich.

Bardzo mnie rozczarowała ta sztuka Steinbecka. I trochę rozśmieszyła. Wyobraźcie sobie najbardziej ponurego Dostojewskiego, zmieszanego z najbardziej ponurym Ibsenem na **rancho**, w jednym z południowych stanów Ameryki. Cowboye przeżywający tragizm istnienia, nieuchronna samotność ludzkiego bytu, niemożność porozumienia się z żadną ludzką istotą. Bohaterem oczywiście jest wariat, niedorozwinięty siłacz, który odczuwa potrzebę tkliwości i pieszczot. Niestety jest jednak

M. Mołotow

tak silny, że kiedy pieści, łamie kości i zabija. Wszystko z potrzeby czułości. Oto znowu problem winy niezawinionej. Do tego wszystkiego domieszana naiwniutka ideologia krzywdy społecznej. Robotnicy rolni, murzyni i poganiacze mułów marzą o własnej fermie, o tym, by pracować na swoim, aby mieć własny kawałek ziemi. I jeszcze maleńki wampik, który marzy o karierze filmowej i szuka przygód w stajni. Dwa zabójstwa na scenie: złamanie kości i strzał rewolwerowy w tył głowy. Bójka kowbojów. Zastrzelenie psa, tym razem za sceną. Słychać tylko strzał. W przerwach rozmowy o potrzebie przyjaźni, o tym, że człowiek nie może żyć samotnie.

Najbardziej naturalistyczna inscenizacja, jaką sobie tylko można wyobrazić, świetnie odpowiadała wszystkim ponurościom sztuki. Wszystko jak żywe, nawet prawdziwa słoma w stajni i prawdziwy pies. Tylko zdechła mysz, którą nieustannie gładzi wariat, była sztuczna. Krótko: fabuła Londona, bohaterowie Dostojewskiego, dialog i głębia Ibsena. Dwa lata przed wojną bardzo by mi się to podobało.

10.VIII.

Chciałbym napisać małą książkę o „martwych naturach" w malarstwie. Chciałbym pokazać tak pozornie wieczny temat: kwiatów, owoców. Zdradza nie tylko styl artysty, ale i cały jego stosunek do świata, do ludzi, do życia. Wydaje mi się, że martwa natura może być głęboko ludzka i okrutnie nieludzka, że podobnie jak wyraz oczu, uśmiech i gest zmienia się w portretach zależnie od epoki, tak samo zmieniają swój wyraz jabłka, naczynia i kwiaty.

Oglądałem wczoraj w Luwrze wstrząsający obraz Goy'i, przedstawiający dwa kawały mięsa. Jest w tym obrazie straszliwa nienawiść do świata, niemal całe dantejskie piekło dojrzane w okrwawionym kawałku wołowiny. A o parę sal dalej martwe natury Holendrów: ogromna ilość ubitego ptactwa, wspaniałość piór bażancich, złocące się łuski ryb, zaróżowione połcie mięsa. Ileż jest w tych martwych naturach radości, uciechy i bogactwa, pełnej zgody na życie. Holendrzy starają się pokazać smakowitość każdego kęska, gdyby nie wspaniałość barw, możnaby pomyśleć, że to reklamy oberż i zajazdów. Holendrzy podporządkowują malarską kompozycję przedmiotów ich kulinarnej sensowności. To nie są sztucznie ułożone harmonie barw i kształtów, ale stół kuchenny przed wiel-

Tak się toczy światek

Wehikuł historii mknie dalej

Zmarł H. G. Welss jeden z wybitnych pisarzy naszych czasów, postać szlachetna, idealista pełen gorącej wiary w postęp, potęgę nauki, i ludzkość. Bohaterzy powieści Wellsa to przeważnie uczeni dokonywujący epokowych wynalazków, które mają oddać ludzkości najwyższą korzyść i błogosławieństwo. Ale rezultaty nie przynoszą oczekiwanych skutków: wynalazki sprawiają światu szkodę albo wręcz przynoszą — zagładę, nierzadko niweczą swego twórcę zanim zdąży przekazać dalej swoje dzieło. Ten pesymizm i ogólna w twórczości Wellsa idea, najwyraźniej uwydatnia się w najbardziej znanej jego powieści „Niewidzialny człowiek": powzięty w szlachetnej myśli wynalazek doprowadza wynalazcę do zbrodni, obłędu a wreszcie — śmierci.

Ten pesymizm w stosunku do naukowych poczynań swoich bohaterów nie doprowadza jednak Wellsa do postawy pesymistycznej wobec świata. Wierzy on głęboko w rozwój człowieka i stosunków między ludźmi, które w dystansie dalszym wyrównują przytłaczające i dysharmonicznie działające potęgi natury: „Czyż możemy wątpić, że ludzkość urzeczywistni kiedyś nasze najświetsze marzenia, że osiągnie jedność i spokój...". Drogi do tego celu Wells nie wskazuje, ale samo postanowienie tezy pasuje go na jednego z największych i najnowocześniejszych pisarzy i myślicieli naszych czasów. Bo oto umierając pozostawia świat w sytuacji jakby żywcem wyjętej z jego powieści. Życie wyrównało artystyczne rojenia Wellsa. I teraz nie można już odraczać ani przekazywać w przyszłość odpowiedzi na pytanie: „Jak osiągnąć jedność i spokój?"

Czy chcecie posłuchać tej „powieści" Wellsa, którą życie po jego śmierci rozpoczęło pisać na naszej skórze?

Otóż tak było: Od wielu lat uczeni pracowali nad wielkim dziełem rozbicia atomu i uzyskania w ten sposób energii tak potężnej, że rozwiązywałaby w ogromnej skali najcięższe i najtrudniejsze zagadnienia przemysłu i techniki formując w ten sposób nowe oblicze świata o niespotykanej w dziejach świetności. Uczeni, którzy jak wszyscy w świecie uczeni, za wyjątkiem uczonych hitlerowskich, mają w sobie coś ze świętych i apostołów, powodowali się w swoich poszukiwaniach szlachetną pasją uszczęśliwienia ludzkości, ale złośliwy los niezbyt sprzyjający szlachetnym porywom pokierował sprawą nieco inaczej. Uczonym wprawdzie udało się wreszcie rozbić atom i uzyskać tak upragnioną energię, ale odkrycia swego dokonali w czasie, gdy w świecie szalała przeraźliwa wojna i z konieczności pierwszy użytek cudownej energii poszedł na cele wojenne: sfabrykowano atomowa bombę i spuszczono ją na kraj wrogi dokonując zniszczeń o jakich dotąd nie miano pojęcia. Szczęśliwie atomowa bomba znajdowała się w ręku walczących w słusznej sprawie i spadła na ziemie wrogów ludzkości, ale tym niemniej wywołała w świecie wiele niepokoju i rzec można gorzkiego niesmaku. Podniosły się zgodne głosy, że jakkolwiek była słuszna sprawa walczących i jakniebądź wrogi był kraj z którym walczono, z tym sposobem wojowania przeholowano jednak i nadużyto metod, na które przyzwoity człowiek może sobie pozwolić. Jedni mówili tak powodowani szlachetnym humanitaryzmem, inni trochę to humanistyczne oburzenie udawali kurcząc się w gruncie rzeczy ze strachu, ażeby pewnego dnia ta bomba atomowa nie spadła właśnie na ich głowy. I to właśnie było najdziwniejsze i najbardziej nienormalne. Bo przecież wojna zakończyła się szczęśliwym rozgromieniem wroga ludzkości, który leżał bezsilny i nieszkodliwy, pozostały w świecie tylko narody szlachetne i miłujące pokój i nie było więcej powodu, aby nie rozbroić bomby z błogosławionej energii, zaprzągając ją do służby ładu i sprawiedliwości. A mimo to świat nie mógł się pozbyć trwożliwej sugestii i katastroficznego nastroju i zamiast błogosławić swoją odkrytą energię drżał przed nią ze strachu, wróżąc sobie bardzo niedobre rzeczy. Coś w tym było, prawda, nie w porządku. Albo ta cała wielka i niszczycielska wojna o sprawiedliwość była blagą i oszuści a nie szlachetni obrońcy prawdy walczyli obok siebie, albo tkwił jakiś błąd, jakieś nieporozumienie w organizacji ludzkiego życia. Dlatego mężowe stanu i ludzie dobrej woli zaczęli jeździć do siebie i składać sobie wizyty oświadczając, że nikt nie chce bomby a każdy chce łagodnej i posłusznej energii i naradzając się jakby świat zorganizować, żeby było dobrze a nie źle... dalszy ciąg nastąpi.

Ten dalszy ciąg musi się wyłamać z ram powieści fantastyczno - naukowej i przejść na realistyczną prozę społeczno obyczajową. Trzeba pokazać parę grubych i obleśnych kapitalistów, którzy skupiają w swoim ręku środki produkcji, trzymają ją również na zapalniku bomby atomowej. Trzeba ich pokazać jak paląc cygara i pijąc coctaile naśmiewają się z narad szlachetnych mężów stanu i ludzi dobrej woli, ponieważ cokolwiek się postanawia i tak oni będą trzymać w ręku los świata i energii atomowej, trzeba pokazać jak kpią sobie z ładu i sprawiedliwości, a przeciwnie bardzo im w smak wszelki zamęt i niepokój. Dalej należy wprowadzić drobnych i zachłannych posiadaczy szermujących w obronie swoich dóbr zdobytych na krzywdach społecznych, najwznioślejszymi pojęciami, drżących bardziej przed postępem niż możliwością rozbicia nad ich głowami atomu i zapatrzonych w grubasów z cygarami jak w zbawców. Na koniec ukazać należy szerokie warstwy ludu pracującego, który walcząc o swoje prawa walczy o sprawiedliwość i lepszą przyszłość świata. Jeżeli w takim pościgu między postępem nauki, a postępem społecznym zdołamy w naszej powieści dognać naturę wypiszemy ze spokojem: koniec pod ostatnim słowem starego świata, drżącego przed mistycznymi siłami przyrody

Kandyd.

ką ucztą. Piękno jest funkcją smakowitości.

Po Holendrach jakżeż piekielnie surowy wydaje się Chardin. Urodził się w piętnaście lat po Watteau, umarł w prawie 60 lat po nim. Nie mogę zapomnieć tego obrazu „Fajka i kubki". Wydaje się, jakby Chardin posiadł całą wiedzę o martwych przedmiotach. Nie chcę mówić o ostrości i zwięzłości rysunku, o przyćmionym kolorycie, o harmonii tonów szarych i białych. Holendrzy pokazywali smakowitość ryb, zajęcy i ptaków. Chardin jest purytaninem, przyjmuje świat rzeczy, lecz oczyszcza go z ludzkiej pożądliwości. Jest po mieszczańsku dokładny, trzeźwy, oschły. Pokazuje z jakiej materii zrobione są wszystkie przedmioty. Szanuje świat rzeczy, nie wypacza proporcji, pragnie, aby fajansowy kubek był tylko fajansowym kubkiem, aby brzoskwinie były brzoskwiniami, a nożyk do owoców nożykiem do owoców. Dla Chardin'a świat martwych przedmiotów nie ma tajemnic, przyjmuje jego prawa.

Pamiętam jedną z wystaw Picassa przed wojną. Temat kilkudziesięciu obrazów był jeden i ten sam. Kubek i kwiaty. I w każdym z obrazów artysta starał się zniszczyć przedmiot, ten sam kubek przybierał kształty ptaka, drapieżniał, straszył i groził. Picasso burzył porządek natury. Pokazywał grozę zwykłego glinianego dzbanka.

Dla Holendrów i dla Chardin'a natura nie była nigdy tylko pretekstem. Dla Bonnarda i dla Matisse'a jabłka, cytryny są tylko kolorowymi plamami, które dekorują płaszczyznę obrazu. Jabłka przestają być jabłkami. Tak się zaczyna pogarda dla świata ludzkiego.

Mogłoby się wydawać pozornie, że wybór przedmiotów do studium martwej natury zależny jest od przypadku i fantazji artysty. Tymczasem Holendrom, ani Chardinowi nie wpadłoby nigdy do głowy złamać naturalny porządek rzeczy i komponować martwą naturę z przedmiotów, które obok siebie znaleźć się tylko mogą przypadkiem. Dopiero malarstwo post-impresjonistyczne zburzyło te ostatnie konwencje ładu i umieszczając obok siebie melonik, talerz z jabłkami i stary pantofel uroczyście intronizowało bezsens.

11.VIII. 1946.

Niech pan zwróci uwagę — powiedział mi wczoraj Aragon — na gwałtowną kampanię w obronie sztuki abstrakcyjnej w najbardziej szacownych tygodnikach mieszczańskich. Czy pan wie, że Picasso nazwany został zdrajcą? Zdradził czyste malarstwo. Nie potrzebne są wielkie sceny historyczne, dla dzisiejszego rentiera groźnym staje się już obraz, przedstawiający jabłko. Jeżeli ktoś maluje jabłko, namalować może potem rękę ludzką, a później całego człowieka. Każdy portret człowieka dla mieszczanina zapowiada dzisiaj rewolucję. I dlatego bronią dzisiaj **dni** abstrakcyjnego malarstwa".

„A w poezji? — pytam. Czyż nie następuje powrót do pozycji tematycznej?" „Nie było i nie ma — odpowiada Aragon — poezji bez tematu. Jeżeli pan weźmie najbardziej poplątane, ciemne i rozbite poematy nadrealistów, zawsze znajdzie pan w nich temat. Tylko — Aragon wstaje i zaczyna szybko chodzić po pokoju — dziwność i bezsens stały się już tematem akademickim. Istotny spór nie jest o poezję tematyczną i beztematyczną, ani o retorykę expoezji, ani o reguły, lecz o wybór tematu, o to, jaki jest temat. Breton może jeszcze z dziesięć lat gdakać o piękności konwulsywnej. Zostawiam piękność konwulsywną imitatorom starzyzny. Różnica pomiędzy mną a Bretonem polega na tym, że ja piszę świadomie wiersze polityczne, a on pisze tylko o kobietach. Polityka rozstrzyga o wyborze tematu. Ale na to Breton nie chce się zgodzić. Nie chce się zgodzić, ponieważ wie, że musiałby ponieść konsekwencje. Nie jest bowiem przypadkiem, dlaczego on został w nadrealizmie".

— „Czy nie sądzi pan — ryzykuję pytanie —— że powrót poezji w świat zbiorowych namiętności, że temat polityczny przyniesie zarazem powrót do klasycznych reguł. Czyż na powojennej poezji pana nie zaciążył wiek XVI z jego całym bogactwem sztuki rymotwórczej?"

Aragon wybucha śmiechem. — „Niech się pan przyjrzy mojej bibliotece. Rok 1500 jest granicą moich lektur. Ani jedna książka tutaj nie zawiera późniejszego tekstu". Pokazuje mi Aragon oprawne w czerwony safian wspaniałe wydanie poezji trubadurów.

— „Reguły klasyczne! Tak. Uznaję tylko jedną z tych reguł, a jest nią wynalazczość. Wynalazczość — oto jedyna prawdziwa wierność klasycznej tradycji."

Rozmawiamy o tłumaczeniach. Opowiadam Aragonowi o świetnych przekładach jego wierszy na język polski. Aragon uśmiecha się i nie wierzy.

— „Jedyny przekład — mówi — jaki daje wierny obraz oryginału, to przekład prozą. W ten sposób przekładano we Francji wiersze niemalże do połowy wieku XIX. I wpływ tych przekładów był ogromny. Czy wie pan, jaka jest prawdopodobna geneza poematu prozą? Ta forma niezwykła i dziwaczna, nie mogła powstać przypadkiem. Niech pan porówna daty. Poemat narodził się w okresie gwałtownego rozpowszechnienia się we Francji przekładów szaleństw niemieckich romantyków. Były to wszystko przekłady prozą, nie zachowywały ani rymu, ani rytmu. Novalis i Hölderin, przełożeni na francuską prozę — oto chwila narodzin nowego gatunku. Niech pan przeczyta raz jeszcze Hoveusza Bertranda. Przekłady prozą nauczyły doświadczać uroku poezji, ograniczonej do absolutnej czystości zdania, do roju obrazów, do wizji. Baudelaire był geniuszem przekładu, ale nawet jego poematy prozą to tylko bruliony przekładów, których nie potrafił okuć rymem. Komuż mógłby wpaść kiedykolwiek do głowy szalony pomysł, aby wyrzeźbić kaleki tors ludzki? Dopiero odnalezione szczątki rzeźb greckich i rzymskich, połamane posągi bez głów i ramion pokazały piękno torsu. Poemat prozą — to bastard tłumaczeń".

18.VIII.46.

„La tolerance: il y a des maisons pour ca". Przypomniał mi się ten piękny aforyzm Claudela, kiedy przeczytałem dziś rano, że reżyser włoski Carné zrezygnować musiał z nakręcenia filmu, będącego przeróbką wolterowskiego „Kandyda". Film miał być robiony w Rzymie. Papież zaprotestował. Kościół ma dobrą pamięć, minęło prawie dwieście lat: Watykan nie przebaczył. „Tolerancja" są domy, które się tym zajmują". Za mało się cytuje de Maistre'a, najbardziej u l t r a, ale i najinteligentniejszego z synów Kościoła. W jego broszurze „Sur l'Etat du Christianisme en Europe" — czytam: Il ne faut pas croire que le catholique soit tolére, même en abusant de ce mot, parce qu'on lui permet d'avoir une église et d'entendre la messe. Il n'ya point de tolérance pour une religion qui n'est pas tolérè suivant son essence et ses maximes".

Tolerancja dla katolików, pamiętajmy, oznacza zniesienie szkoły laickiej. M. R. P; o to już wyraźnie walczy. Katolicka lewica intelektualna, z którą zetknąłem się w 1938 r. we Francji, praktycznie przestała istnieć. Pamiętam jak w klasztorze Dominikanów pod Paryżem odprawiano mszę świętą na intencję zwycięstwa czerwonej Hiszpanii. Maritain jest dzisiaj ambasadorem Francji przy Watykanie.

Katolicyzm francuski — mówił mi wczoraj ksiądz Z. — nie poszedł na prawo. Katolicyzm pozostał w miejscu. Zmieniła się Francja. **M. R. P.** jest dzisiaj ostatnią wielką nadzieją francuskiego mieszczaństwa". Przed wojną temiści kusili niewierzących i bezinteresownych intelektualistów. Dziś wokół M.R.P. grupują się niewierzący fabrykanci i bankierzy. Ci nie są bezinteresowni.

Nie wolno jednak zapominać, że z perspektywy Paryża, zupełnie co innego oznacza słowo: lewicowy katolik, niż z perspektywy Krakowa. Ześlij nam, panie Boże, tych... prawicowych księży francuskich nad Wisłę. Boję się tylko, żeby ich natychmiast nie zasuspendowano. Kiedy opowiadałem o sprawie księdza Waryńskiego, usłyszałem w odpowiedzi, że po raz ostatni zasuspendowano księdza we Francji za przekonania polityczne prawie sto lat temu. Tym ostatnim zasuspendowanym księdzem był Lameunais.

M. Byrnes

13.VIII. 46.

W tym tygodniu wprowadzono po raz pierwszy we Francji obok sprzedaży na kartki wolny handel mięsem. Ta nowa forma gospodarki nazwana została od nazwiska ministra aprowizacji — „eksperymentem Farge.' Dotąd rząd dopłacał ogromne sumy, aby utrzymać sztywną cenę na produkty pierwszej potrzeby. Obecnie gospodarka francuska przechodzi na system, stosowany dotąd w Polsce, system cen podwójnych: sztywnych i komercyjnych. Uzyskane w ten sposób oszczędności pozwoliły na przeprowadzenie znacznej podwyżki uposażeń, przewyższającej 25 proc. dla niższych kategorii pracowników. System podwójnej gospodarki jest oczywiście ukrytą formą świadczeń rzeczowych. Ciężar deficytowej sprzedaży po cenach sztywnych spada bowiem na producenta. Dyskutuje się obecnie możliwość rozszerzenia „eksperymentu Farge" na obrót winem i chlebem. W ten sposób zwalcza rząd francuski „czarny rynek".

Społeczeństwo walczy innymi metodami. W wielu miastach francuskich organizowane są periodyczne strajki konsumentów przeciwko spekulantom. Ludność solidarnie powstrzymuje się od zakupu określonych towarów, żądając obniżenia ceny. To nie wszystko. Związki zawodowe stworzyły oficjalne komisje złożone z kobiet dla stałego kontrolowania cen. Żony robotników obchodzą codziennie sklepy i targi żądając pokazania faktur kupna i udowodnienia dozwolonej stopy zysku. Z ludem paryskim nie ma żartów. W razie jakiegokolwiek nadużycia towar zostaje natychmiast odebrany sklepikarzowi wśród przeraźliwych gwizdów i wymyślań tłumu. Kontrola społeczna daje we Francji rezultaty.

Piękny przykład dyscypliny dała Komunistyczna Partia Francji. Komuniści francuscy ustalili górną granicę swoich dochodów. Deputowany, który otrzymuje 30.000 franków pensji miesięcznej, dwadzieścia oddaje na potrzeby partii. Tak samo minister komunista i wszyscy wyżsi urzędnicy. W **l'Humanité"** najwyższa pensja redakcyjna wynosi 8.000 franków. Inżynierowie, lekarze, adwokaci i posłowie, należący do Partii dobrowolnie zgodzili się zarabiać tylko tyle, ile otrzymuje wykwalifikowany robotnik. Tak Komunistyczna Partia Francji wychowuje swoje kadry, partia, do której należy pół miliona Francuzów.

14.VIII. 46.

W sali Pałacu Luksemburskiego, która jest nową wieżą Babel, wzbogacona o radio, telefon i telegraf, jeden z dziennikarzy ogłosił następującą ankietę: „Kto wygrał wojnę?" Tutaj, w czasie Konferencji Pokojowej, pytanie to nie jest pozbawione specjalnego smaku. Maleńki Chińczyk napisał w odpowiedzi: „Narody Zjednoczone" a potem dał ogromny znak zapytania. Dwudziestu jeden przedstawicieli dwudziestu jeden narodów oświadczyło najbardziej uroczyście, że wygrało wojnę. Ale kto ją przegrał? Na to pytanie coraz trudniej odpowiedzieć. Śmieszne są czasem figle przypadku: dwudziestu jeden oskarżonych w Norymberdze; dwudziestu jeden zwycięzców w Pałacu Luksemburskim.

Wkrótce będzie ich więcej. Kiedy Czesi i Jugosłowianie domagali się zaproszenia Albanii, min. Alexander w imieniu Anglii zażądał równoczesnego zaproszenia Kuby, Meksyku i Egiptu. Za parę dni powita konferencja delegatów tych państw.

Tymczasem stają kolejno przed Konferencją Paryską przedstawiciele państw zwyciężonych.

W głuchej ciszy weszła na salę delegacja włoska i zajęła w milczeniu ostatnie rzędy krzeseł. Przemawiał de Gaspari. Po raz pierwszy usłyszeliśmy w tej sali język włoski. Po raz pierwszy usłyszeliśmy namiętny krzyk, po raz pierwszy zobaczyliśmy patetyczny gest ramion, wyrzuconych w powietrze. Ten krzyk i ten gest dobrze pamiętamy wszyscy. De Gaspari żądał Triestu, de Gaspari żądał kolonii. Padł na wspaniałą salę Senatu francuskiego groźny cień Mussoliniego. De Gaspari w godzinnym przemówieniu nie znalazł ani jednego słowa, aby potępić imperializm włoski, aby potępić faszyzm. De Gaspari stwierdził, że Włochy także wygrały wojnę. Jeszcze jeden zwycięzca.

Kto, do diabła! przegrał tę wojnę?

I maleńki margines: Na znak protestu przeciwko zwolnieniu Flandina, sędziowie komuniści zgłosili swoją dymisję z Sądu Najwyższego.

Jan Kott

SEWERYN POLLAK

Lucjan Szenwald

Od pierwszych młodzieńczych wierszy, werbalnych i ekspresyjnych, przeładowanych obrazami i zmąconych niepokojem, o pesymistycznym tonie i ciemnych barwach, pełnych buntu i dekadenckiego, mieszczańskiego anarchizowania — pod wpływem rozczytania się w romantykach i w poezji klasycznej przechodzi Szenwald do innych tonów i innych rozwiązań formalnych. Inne go też w tym czasie zaczynają zajmować zagadnienia. W drukowanym w 1929 r. w „Kwadrydze" wierszu „Ku czci filologa" Szenwald „z kilku liter nad stronicą żółtą zbłękitniałych. nim w słowo spłyną jednolite, brzmień architekturą skute doskonałą", wysnuwa cały świat piękna starożytnej Grecji.

Zatrzymuję się nieco dłużej nad wierszem „Ku czci filologa", gdyż zapoczątkowuje on właściwie całą dalszą linię poetycką Szenwalda. Patetyczność pierwszych wierszy przemienia się tu w powściągliwy patos, który już zawsze będzie dominującym tonem jego poezji, tak samo nieodłącznym jak klasycyzowanie, jak stałe nawiązywanie do wielkich mistrzów.

Szenwaldowi chodziło o zachowanie form klasycznych przy nowej społecznie treści. Będzie to miało zastosowanie w następnym dopiero okresie jego twórczości, ponieważ jednak podstawy tej teorii z dawnych, młodzieńczych wywodzą się umiłowań, należy rozpatrzeć co one dały poecie i w jaki sposób nad nim zaciążyły.

W jednym z utworów Dickensa znajduje się takie zdanie: „Sądzili, że umarli artyści zawsze byli wielkimi, że im bardziej współcześni będą ich naśladować, tym bardziej przez to naśladowanie osiągną, choć oczywiście nie w tym stopniu, możliwość stania się znakomitościami".

Nie obawiajmy się tej lekkiej ironii, zawartej w przytoczonym tu cytacie z Dickensa w zastosowaniu do tak rzetelnego twórcy, jakim był Szenwald, gdy sens cytatu odpowiada postawie jego na tym etapie twórczości.

W posłowiu do „Sceny przy strumieniu" mówi Szenwald, że mistrzami jego byli: Ajschylos, Wergiliusz, Szekspir, Shelley, Mickiewicz, Słowacki. Można by tu dorzucić jeszcze kilka nazwisk — Kochanowski, Byron, Puszkin i Rimbaud. Od wszystkich tych poetów, reprezentujących wiele kierunków i szkół, a związanych ze sobą wielkością jedynie, poczesnym stanowiskiem w historii literatury — Szenwald przejmuje gotowe wzory rozwiązań formalnych, układów słownych, ich leksykę, a więc pośrednio związane z tym kompleksy pojęciowe. Czytając wiersze Szenwalda raz po raz słyszymy echa poezji Wielkich Umarłych, raz po raz pobrzmiewają strofy jakby wyjęte z polskiej poezji romantycznej. Chwyty poezji romantycznej, która najsilniej może zaciążyła na Szenwaldzie nie odnawiają się w jego strofach, czy też wedle terminologii rosyjskich formalistów nie uniezwyklają się, przeniesione w nasze współczesne konstrukcje wierszowe i zastosowane do współczesnej treści poetyckiej. Szenwald przejmując gotowe chwyty formalne, kanonizuje je niejako, a wtłaczając w współczesne sobie ramy, zmienia ich funkcję. Nie liczy się przytem z tym, że inne warunki obiektywne stwarzają inną, właściwą im formę, że forma utworu literackiego nie może być dobrowolnie wybrana, gdyż jest funkcją całego szeregu czynników. Najważniejsze z nich to warunki historyczne i związana z nimi treść utworu literackiego. Podobieństwo sytuacyj społecznych coprawda wytwarza niekiedy nawrót do dawniej używanych form. „Klasycyzm" poetów po drugiej wojnie światowej polega jednakże nie na przejmowaniu gotowych kanonów formalnych lecz wyłącznie na dyscyplinie klasycznej, na zwrocie ku poezji racjonalistycznej, intelektualnej, podejmującej zagadnienia, a unikającej impresjonistycznego notowania „przeżyć".

W 1931 r. w „Wiadomościach Literackich" Szenwald drukuje poemat p.t. „Kuchnia mojej matki". Opanowany formalnie, zwięzły i jednolity kompozycyjnie, poemat ten swą treścią i nastrojem stanowi jakgdy by przejście do nieokiełznanych a jednocześnie pesymistycznych wierszy młodzieńczych do klasycznie powściągliwych i wyraźnie społecznych wierszy późniejszych.

„Kuchnia mojej matki" — wielka metafora, pełna barokowych przerostów, — to kuchnia przyrody, alchemia przemian, jakie się w niej dokonywują. Pesymistyczny akcent końcowy — stwierdzenie znikomości urody ziemskiej — jest pozostałością dawnej postawy; dystans i usiłowanie obiektywizacji to poszukiwanie nowych dróg i nowych roz

wiązań formalnych dla kiełkujących już wówczas w Szenwaldzie nowych idei.

„Droga" Szenwalda do poezji społecznej nie była łatwa ani prosta. — Miotał się w poszukiwaniu wyjścia ze ślepego zaułka, jak wielu innych poetów polskich, i wiele przeszedł walk wewnętrznych, zanim skrystalizował się w poetę społecznego.

Pierwszym utworem Szenwalda o wyraźnie zaznaczonej problematyce społecznej jest „Rewolucjonistka". Poeta deklaruje się w nim jako socjalista, lecz socjalizm jego ówczesny przypomina poetyckie utopie socjalistyczne pierwszych symbolistów rosyjskich, z podobnego mieszczańsko - inteligenckiego wywodzące się gruntu. Pomimowoli przy lekturze „Rewolucjonistki" przychodzi na myśl „Atlantyda", dramat poetycki Laryssy Reisner z jej lat młodzieńczych. Ta sama tam idealizacja bohatera, ekspresjonistyczny patos i stylizowanie rewolucji. Kapitaliści to jeszcze u Szenwalda Demony o brudnych złoconych rękach, a radość walki rewolucyjnej, „kaskada człowieczej radości" — „bucha z krwi rozszalałych kaskad".

Lecz Szenwald nigdy nie jest połowiczny. Z chwilą, gdy rozumowo dochodzi do socjalizmu, gdy staje się marksistą i zaczyna brać czynny udział w walce politycznej, — zaczyna myśleć o innej poezji.

Usiłując „złowić puls współczesnego życia" tworzy koncepcję poematu łączącego w sobie elementy liryczne z epickimi. Poematami o takim założeniu jest wspomniana „Scena przy strumieniu" i „Rower".

Recenzując w swoim czasie „Scenę przy strumieniu" pisząc o pseudoklasycyzmie Szenwalda, stwierdziłem niewspółmierność pomiędzy klasową treścią a klasyczną formą. Niewspółmierność ta niewątpliwie istnieje, a jednak pomimo wtórności kojarzeń, odgłosowości obrazów poetyckich, stwarzających pomimowoli wrażenie świata „pełnego krwawej urody jak teatralna scena", mimo, iż bohaterowie poematu wydają się aktorami powtarzającymi wyuczone role na tej scenie, przedstawiającej romantyczny, zapuszczony, dziki park angielski, mimo to wszystko „Scena przy strumieniu" jest obok „Słowa o Jakubie Szeli" Jasieńskiego jednym z najlepszych poematów społecznych okresu międzywojennego.

Braki tego poematu wypływają z teoretycznych założeń Szenwalda, wyłożonych w autorskim posłowiu, o jego zaletach stanowi to, co nazwałbym zdradą kanonu klasycznego. Są to luki w tym kanonie, wywodzące się z poezji innej, mniej pośredniej, przebłyski prostoty podejścia, trafności i dobitności obrazowania przy realistycznym ujęciu tematu.

Należy wyjaśnić to na przykładzie: po doskonale dramatycznie wyeksponowanej scenie strzału, po opisie zdumienia i zastanawiania się Andrzeja; opisie notabene odsłaniającym proces pośredniości kojarzenia artystycznego Szenwalda (wrastanie w drzewo nasuwa poecie wspomnienie analogicznej sytuacji w „Boskiej komedii", przypomnienie Dantego narzuca automatycznie rozwiązanie wersyfikacyjne: tercynę) — następuje takie zdanie:

Nagle rozprężył dłonie. Biorąc rozpęd
skoczył na drugi brzeg. Potknął się. Pobiegł.
I biegł przez kępy kłocami zarosłe.
i biegł, jak sforą psów ścigany człowiek,
broniący się zamknięciem oczu.

O trafności psychologicznej i obrazowej przytoczonego fragmentu nie trzeba nikogo zapewniać. Efekt artystyczny wydobyty jest tu najprostszymi, a jednocześnie poetycko wybitnie współczesnymi środkami, bez uciekania się do odrealniających chwytów pseudoklasycznych zespołów słownych. Ta zdrada kanonu klasycznego na rzecz realizmu i prostoty, zdrada, którą niezależnie od swych teoretycznych założeń popełniał Szenwald z czasem coraz częściej, — była niezmiernie płodna w skutkach. Jego pseudoklasycyzowanie coraz bardziej, zwłaszcza w późniejszych, wojennych wierszach zmieniało się w dążenie ku klasycznej dyscyplinie.

Wracając do „Sceny przy strumieniu" muszę jeszcze podkreślić w niej olbrzymie bogactwo form wersyfikacyjnych, rytmicznych i metrycznych. Bez przesady możnaby powiedzieć, że bodaj na każdą formę wierszową, na każde metrum możnaby tam znaleźć przykład, tak jak i na każdą figurę stylistyczną, na każdy rodzaj poetycki.

Słusznie o znaczeniu tego poematu pisze Jerzy Zagórski (w 1936 r.):

„Poemat jest w swoim rodzaju jedynym zjawiskiem w ciągu ostatnich paru lat — a wyjątkowym w ciągu ostatnich lat kilkunastu. Jeżeli jest tylko znakomitą modlitwą, ale bez łaski uświęcającej, jeżeli jest tylko zdobieniem domu dla oczekiwanego gościa, jeżeli jest tylko torowaniem drogi wichrom natchnienia — spełnia swoją wielką i dobrą rolę. Jest wielkim aktem ekspiacji jaką polska poezja składa... za lata utalentowanego niechlujstwa i grandziarskiego tupetu".

W stałej pogoni za najwłaściwszą formą dla aktualnej społecznej treści zatrzymuje się Szenwald nad koncepcją kroniki lirycznej. Nie jest to genre całkowicie nowy — możnaby uważać go za swoistą modyfikację lirycznego felietonu. Twórcą tego rodzaju poetyckiego był Majakowski, rozwinął go i podbudował teoretycznie uczeń Majakowskiego Asiejew. Lecz jeśli w felietonie lirycznym autor przemawia bezpośrednio, mając na celu nieraz doraźną agitację, kronika liryczna Szenwalda posiada pewne cechy epickiej opowieści, jej oddziaływanie społeczne jest pośrednie — —poprzez wymowę akcji i emocjonalnego jej naświetlenia. Próbą tego rodzaju poetyckiego jest „Rower".

Ostatni wojenny okres twórczości Szenwalda, cechuje coraz większe nasycenie treści elementami społecznymi, motywami patriotycznymi w najszlachetniejszym znaczeniu tego słowa. Poezja ta, jeśliby ją można było scharakteryzować jednym słowem, najbardziej zasługuje na miano „liryki obywatelskiej", co jest celowo nieudolnym, gdyż dosłownym przekładem rosyjskiego terminu „grażdanskaja liryka". Tomik „Z ziemi gościnnej do Polski", wydany w Moskwie w 1944 r. nakładem Związku Patriotów Polskich, zawiera nowe, głębokie a przejmujące akcenty.

Czy to będzie „Ballada o pierwszym batalionie", czy „Elegia na śmierć Mieczysława Kalinowskiego" — wszędzie znajdziemy głęboki ton szlacheckiego patosu, prawdziwie ludzkie uczucia i prawdziwie ludzką troskę. Daleko odszedł Szenwald — żołnierz Pierwszej Dywizji od dawnego Szenwalda— wirtuoza formy. Znalazł wreszcie właściwą miarę pomiędzy formą a treścią. Szersze ujrzał horyzonty, nauczył się mówić prosto najbardziej istotne dla swego pokolenia prawdy.

„Jeśli w życiu nie będzie spraw droższych nad życie,
To lepiej czołem w ciemność uderzyć jak w błoto.
„Uczcie się żyć, abyście umierać umieli".

Tak może mówić tylko człowiek, który swą żołnierską walkę z wrogiem i swoją poezję uważa za jedno, który bez lęku patrzy w oczy zarówno śmierci jak i życiu.

Akcenty polemiczne takich wierszy jak „Oktawy o piątej kolumnie" i „Do Polaków Zagranicą" siłą i bezpośredniością przypominają najbardziej palące strofy romantyków, Słowackiego zwłaszcza.

Zastanawiające jest w wierszach wojennych Szenwalda stopniowe rozszerzanie się zakresu środowiska, dla którego były przeznaczone. Poeta, żołnierz i kronikarz Dywizji Kościuszkowskiej, pisze dla wąskiego kręgu odbiorców — dla kolegów - żołnierzy. Krąg ten rozszerza się stopniowo czytelnikami poezji Szenwalda są już żołnierze Pierwszej Armii, a potem cała emigracja polska w Związku Radzieckim. Wraz z rozszerzeniem kręgu czytelników rozszerza się jednocześnie zakres tematyczny wierszy Szenwalda. Od wierszy ściśle związanych z życiem małego społeczeństwa, jakim jest Dywizja Kościuszkowska, wierszy odzwierciadlających dążenia i cele, z konieczności wąskie, choć mierzone na zamiary, przechodzi stopniowo Szenwald do utworów o szerokim, ogólnonarodowym i ogólnoludzkim charakterze. Proces ten daje się prześledzić również na poszczególnych utworach, których zasadniczy temat, będący punktem wyjścia, jest naogół prywatnym, mało znaczącym faktem z życia poety w Dywizji. Ten pierwszy temat, nasycony zagadnieniami ideologicznymi o znaczeniu niewspółmiernie szerszym, stopnio rozrasta się w ramach wiersza i przekształca w temat inny, szerszy, znacznie bardziej dla Szenwalda i dla jego środowiska ważny. Są to dyskusje ideologiczne i wykłady programu, charakterystyczne przez swą publicystyczną bezpośredniość.

Głównymi tonami w poezji wojennej Szenwalda są: tęsknota za krajem, troska o ten kraj, poczucie odpowiedzialności, i z poczucia tego bezpośrednio wynikająca potrzeba walki za ojczyznę. Nie ma tu miejsca na emigracyjne żale, na nostalgię. Wojenna twórczość Szenwalda — to konsekwentna realizacja programu — stąd tony bojowe i polemiczne. Dzięki nim wiersz u Szenwalda nabiera krwi i życia. Dużo tam jeszcze reminiscencyj romantycznych, lecz romantyzm tematyki, jej patos łatwiej godzi się z literackimi aluzjami do innych, również patetycznych czasów. Zresztą i aluzje są tu znacznie dyskretniejsze i zespoły formalne prostsze, oszczędniejsze, nie narzucające zbędnej wirtuozerii słowno - dźwiękowej. Obecnie mistrzem Szenwalda nie jest już Shelley z jego powiewnością obrazów, ani nawet Byron, ale Mickiewicz, nie tylko wielki romantyk, lecz wielki realista. W fragmentach poematu „Przez linię frontu" w trzynastozgłoskowcach o mickiewiczowskim brzmieniu widzimy wizje Warszawy okupowanej, tak poetycko prawdziwe, jak gdyby Szenwald lata okupacji spędził w tym mieście.

Każdy wiersz tomiku „Z ziemi gościnnej" i spośród rozproszonych po czasopismach wierszy wojennych jest głęboko przeżyty. Czy to będzie balladyczne „Maskowanie reflektorów" czy sonet o krótkowidzu na warcie, gdzie przejawia się rzadki u Szenwalda humor, czy przejmujący wiersz „Do umarłej" — wszędzie znajdziemy liryzm i prawdę poetycką.

Ma niejako znaczenie symbolu fakt, że pierwszy i ostatni wiersz pośmiertnego tomu Szenwalda poświęcony jest Warszawie. I właśnie różnica tonu pomiędzy tymi wierszami jest miarą tego, co Szenwald obiecał poezji polskiej, co spełnił i czego przez swą przedwczesną śmierć spełnić nie zdołał.

SEWERYN POLLAK

W związku z przypadającą dnia 22 sierpnia b. r. drugą rocznicą śmierci poety-żołnierza Lucjana Szenwalda nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Książka" ukażą się w najbliższych dniach jego „Utwory poetyckie."

Z książki tej przedrukowujemy następujące wiersze:

LUCJAN SZENWALD

U M A R Ł E J

(fragment)

Wiatr porankowy wśród nocy przywiał,
Rozwiał bezwładnych snów niepokoje...
Dzisiaj rozmawiam z Tobą, jak z żywą,
Usta złożywszy na serce Twoje.

Przy mnie tu jesteś — w świetle topieli
Tak dotykalna i rzeczywista,
Jakby ten właśnie dzień nas rozdzielił,
A połączyła ta noc rzęsista.

Powiedz! Czy jakiś Orfeusz nowy
Wywołał ciebie w powiewach świtu?
Chcę Ciebie nazwać — i źródłosłowy
Plączą się w jeden wyraz zachwytu...

Chcę Ciebie nazwać — znane imiona
Znowu głoskami martwymi dźwięczą...
Radość wzbroniona, radość miniona —
Możeśmy pili ją zbyt szaleńczo?

Możeśmy byli zbyt zakochani
I świat takiego szczęścia nie zmieści?
I znowu słowa, uwięzłe w krtani,
Gasną — jedyny okrzyk boleści.

* * *

Są naokoło piękne dziewczęta,
Oczy tęczowe, serca źródlane,
Ale Ty byłaś we mnie zaczęta,
Jak przez darń kwietną źródło przelane.

Ciebie w serdecznych umyłem wodach,
Tobą oślniłem wzrok mój na zawsze,
I byłaś moja jak mój jest oddech,
Źrenicą byłaś, przez którą patrzę,

Ciebie nie znając, do Ciebie tęskniąc,
Ciebie miłując — lotną, daleką,
Znalazłem nagle za siódmą klęską,
Za skałą bólu, za smutną rzeką.

Znalazłem — aby stracić tak prędko?
Znalazłem — aby wiekom poświęcić?
Głupiec! Myślałem, że wstrzymam Piękno
W jego wędrówce chyżej ku śmierci!

Więc niech dla innych, doba za dobą
Wieczność upływa w złotym dosycie —
Ja tylko Tobą i tylko Tobą
Pełny i pełny, na śmierć i życie!

I Twoje oczy wodzą mnie w nocy,
Jako podwójna gwiazda pomocy,
I dokąd pójdę, cokolwiek zrobię —
Rozpacz po Tobie, rozpacz po Tobie.

Ż Y C Z E N I A

Myśl z „Hellady" Shelley'a.

Would I werea winged cloud
Of a tempest swift and loud

I

Gdybym ja był obłokiem lotnym,
pary morskiej duchem wilgotnym,
i gdyby poprzez błękitne sfery
niosły mnie własne pióra i stery —
o, nie leciałbym tam, gdzie poranny wiew,
napełniając żagle okrętów i mew,
będzie ze mnie girlandy świetlisto snuć
i przemieni mnie w chatę, w gołębia i łódź,
ani leciałbym tam, gdzie słońca żar,
sprawiający pożogę obłocznych chmar
we włosy nasypie mi iskier tysiące,
a każda iskra jak małe słońce;
o, nie igrałbym z wiatrem i świtem i zmierzchem,
po szczytach drzew nie cwałowałbym wierzchem,
nie rozwijałbym się pod stopami księżyca,
ani zamglonym patrzałbym okiem
w jeziorne odbicie własnego „lica,
gdybym był obłokiem...
Ale zwarłbym się w granatowy kłąb,
żyłkowany zarysem przyszłych grzmotów,
na czole wieniec deszczowych splotów,
w uszach spirale powietrznych trąb.
i dotarłbym do krwawej rubieży,
gdzie sępy dziobą ciała żołnierzy,
gdzie skała na skale, i w ogniach leży
Sierra Quadarrama.

Słyszysz ponad przepaścią chór
z minuty na minutę rosnących chmur?
To błyskawicowe eskadry!
Jak bolid czarny, gdy runie na dół,
tak ja wiren burzy i ścianą gradu
zagrodziłbym drogę na Madryt!

II

Gdybym ja był
strugą czystą,
z ziemi wybuchią, światłem pienistą —
o, nie skakałbym pośród śliskich skał,
ani w słońcu cały aż do dna drżał,
anibym się błoniem kwiecistym wił,
ani mój tęczowy kiełkowałby ił,
ale rozlałbym się w szeroką, szeroką rzekę,
i popłynął przez wąwozy, gdzie dym
zasnuwa las jak po strzale piorunu
i z cichym westchnieniem zebrałbym
łzy sierot i wdów Irunu...

Potem obrócilbym wodne oczy
na łańcuch szczytów, na zygzak zboczy.
Hej, tam w górze, pod skałną drzazgą,
wianek pikiet czy orle gniazdo?
A w dole — pancerny chrząszcz zębaty
czy tank, zakuty w żelazne płaty?
Trzeba mi nurt w jeden obszar zebrać:
to bitwa!
Wówczas powierzchnią srebra
odzwierciadlilbym atak bystry,
spojrzenia luf, piorunów świsty
i przedarcie się przez kolczasty drut,
i pod czoig granatu śmiertelny rzut,
a potem odwrót, ogień i pościg,
w pomroce boru świecące kości
i pni barykady; w ostatniej scenie,
w łachmanach koszul, w strzępach onuc
strzelają! — nad nimi samolot jak owad.
I wiedziałbym: to milicja ludowa,
i będąc rzeką nie mógłbym pomóc.
Jak więc tę krwi bohaterskiej barwę
na burzliwych falach do kraju nieść mi?

Chyba z własnych brzegów sitowia narwę
i uczynię lutnię dla nowej pieśni;
chyba wieżą stanę: niech fala najwyższa
omyje wały, okopy i zgliszcza,
i spazmując wybuchami pian
dalej, dalej pod San Sebastian,
gdzie leniwy bród, gdzie warowny gród,
z garstką ofiarnych dla obrony.
I potoczę masy wezbranych wód,
gniewem i krwią rozpłomieniony!

III

Gdybym był górą stromą,
ze wszystkich stron widomą —
nie turystom, zbrojnym w lornetkę i pled,
na mój kamienny wspinać się grzbiet,
nie poetom zaglądać w mój mglisty krater,
i nie wolno zdejmować mnie aparatem,
ale Wam,
Obrońcy wolności,
Waszym grzmiącym bateriom
najdogodniejsze pozycje
na skłonie moich barków!
Daleka perspektywa
na ruchy nieprzyjacielskiej armii,
dobra osłona —
chmur gęstwa,
i myśl, co
ogniem
odwagi
karmi:
nadzieja zwycięstwa!

Pisane na dzień przez zajęciem
San Sebastian przez wojska rewolty.

ADOLF RUDNICKI

W GÓRZE

1

Wspomniany malarz Adam zaproponował mi, abym na Sądny Dzień pojechał z nim do Góry, do słynnego rabina, gdzie ujrzymy niejedną rzecz, o której pojęcia nie mają w prostackim zepsutym bez tradycji chasydzkich miasteczku. Gdy w kilka dni później wsiedliśmy w Warszawie do kolejki wąskotorowej, była ona czarna od tłumu. W wagonie panował zaduch i tłok. Niektórzy z pasażerów gapili się bezmyślnie na podłogę nucąc osobliwe melodyjki, niektórzy palili papierosy lub jedli owoce. Inni rozmawiali. Żyd o rybich oczach i siwej przezroczystej bródce, przypominającej miotełkę do ubrania, opowiadał:

— Sołowiejczyk, Sołowiejczyk, znacie wielkiego Sołowiejczyka? Kiedyś był to naprawdę wielki doktór, ale potem zrobił się z niego rzeźnik, po prostu rzeźnik. Jednego dnia coś mi na prawej ręce wyskoczyło, więc idę do niego, a on — operacja. Dlacze go operacja? Jak nie rozpuści gęby! Z was, powiada, Żyd, wy na talmudzie się rozumiecie, na koszernych kurach i na manufakturze. Ja tuczone gęsi jadam i wódkę piję, ale na operacjach się znam. Skoro mówię operacja, to tak widać trzeba. Rękę położyć pod nóż bez słowa, bez jednego słowa? Żeby choć przepytać pozwolił. Nie — odpowiadam mocno — panie doktór, pojadę najpierw do rebego. Pojedźcie lepiej do Jerozolimy — krzyknął jeszcze za mną. Odtuczonych gęsi i wódki nerwowy się zrobił wielki doktór Sołowiejczyk. Pojechałem do rebego, rebe spojrzał na rękę i mówi: Idźcie no wy przede wszystkim do mojego felczera. — Poszedłem do felczera, ten pół rubla srebrnego kazał przyłożyć i czy słyszycie? Jak nie wiedziałem, skąd to przyszło, tak nie wiem, jak i kiedy odeszło.

— Niedługo po koronacji cara Mikołaja — opowiadał ktoś inny — pracowałem u Goldwassera, w wielkim składzie manufaktury Goldwassera na Gęsiej, słyszeliście pewnie o tym składzie. Co też wygaduję, to nie za waszych czasów. Jedyna moja córka wyszła za człowieka zamożnego i ustosunkowanego. Mieli jedno dziecko, dziewczynkę. Taka moda, nie chcą mieć więcej dzieci... Pewnego dnia to jedyne ich dziecko połknęło niklową półzłotówkę. Nie miejcie żydowskiego zwyczaju pytać w jaki sposób. Czyż dziecko można upilnować? Idziemy do doktora, a on — operacja; taka od ćwierć wieku widocznie moda w medycynie. Zięć mój człowiek nowoczesny, wierzący w medycynę jak ja w dziesięcioro przykazań, już gotów. Lekarz mówi, rozumiecie, jak lekarz mówi, to dla niego najważniejsze. Dopiero ja powiadam — nie. Przedtem pojadę do Góry, usłyszę co tam mówią. Przyjeżdżam do Góry, wpadam do rebego. Ratujcie, mówię, powiedzcie, co czynić, nic mi nie będzie za drogie. — Ile lat ma dziecko? pyta on. — Dziewięć i mądre jak świat. Ester się nazywa, naszej wielkiej królowej imienniczka. — Rebe nie od razu postanowił. Przyjedź, powiada, za dni trzy, wtedy pomówimy. Tymczasem dzieciak schnie i gorączkuje. Przyjeżdżam po raz drugi w określonym terminie, rebe nie patrząc na mnie powiada: dobrze, niech zrobią operację, ale przedtem daj mi znać. — Jeszcze jak teraz pamiętam, na czwartek wieczór wyznaczono operację, w czwartek rano ruszyłem w drogę. Przyjeżdżam, a w Górze rozpacz i żałoba. Mała wnuczka rebego ciężko zapadła. Źle, myślę sobie. Zło buszuje we mnie, nie widzę nic co przede mną, zwarty w swych myślach, dudniących w głowie, jak miedziaki w puszce jałmużniczej. — Nie będę rozkazywał Najwyższemu, nie chcę być uparty, los dziecka zostawiam jego świętej jedynej woli — tak odpowiedział on na lamenty domowników, kiedy mu wyrzucali, że przygląda się spokojnie nieszczęściu. Spokojnie już my wiemy, co to za spokój. Pamiętacie zgon jego najstarszej córki w siedem dni po porodzie? Wówczas również na świat poszła wiadomość, że znad grobu córki spokojnie poszedł na obrzezanie wnuka. Widziałem ja go wówczas i wiem, jaki to był spokój... Wchodzę, a on ledwie mnie zobaczył woła: Twoją wnuczkę uratowano... Odwrócił się, postał kilka minut w skupieniu. Na czym polega sztuka chasyda? Na umiejętności patrzenia i słuchania. Trzeba umieć patrzeć i słuchać i jak najmniej pytać. Kiedy powiedział uratowana, w jednej chwili się serce moje dosłuchało. Gdym potem wyszedł na miasto, śpiewałem jak wariat. Podczas mej nieobecności spróbowano zabiegu z magnesem i wyciągnięto niklową półzłotówkę z taką o odrobineczką mięsa. Nazajutrz wróciłem do Góry. Nie jestem skąpcem. Pieniędzy nie wezmę ze sobą na Sąd Ostateczny jak Szloma Heryng.

— U mnie było podobnie, choć inaczej — wtrącił w tym miejscu Żyd, który do tej pory stał między ławkami, zatopiony w modlitwie, — Podobnie i inaczej. Syna jednego miałem, byłem z nim u trzech lekarzy. Ślepa kiszka — powiadają — nie obejdzie się bez operacji. Biorą go do szpitala, a tu się okazuje, że nie ślepa kiszka, lecz skręt kiszek. Operować jednak trzeba. Przyjeżdżam do Góry, wręczam mu kartę, a on patrzy, patrzy, dłużej niż trzeba i powiada cicho i dziwnie: Tak i tak się nazywał? I spogląda na mnie jakby z daleka, z bardzo daleka, a ja stałem przy nim, jak teraz przy was. Nazywał się, człowiekowi, który nazywał się, już ręka ludzka nie pomoże. Takiemu już tylko Bożej potrzeba pomocy i czterech łokci gliniastej ziemi na Gęsiej. Skonał o tej samej godzinie pod nożem w szpitalu.

— Aniołowie muszą służyć Panu — dochodzi nas z innego kąta — gdyż po to istnieją. Lecz aniołowie sami są bierni. Dopiero modły człowieka mogą poruszyć odpowiedniego anioła. Anioł staje się czynnym poprzez człowieka. Nam, Żydom, dany jest dar pierwszeństwa w modlitwie i dlatego inne narody są o nas zazdrosne.

— Świat pokutę czyni, świat się modli — zabiera głos młody Żyd wiejski o mięsistych rumianych policzkach. — Świat pokutę czyni i o rozgrzeszenie błaga, a w Kazimierzu nad Wisłą mężczyźni latają w krótkich portkach, kobiety wałęsają się po górach i wąwozach w koszulkach z obnażonymi plecami. Obrażają Pana Boga, drwią sobie z zakonów i nic. Czy nic im za to nie będzie? Nic na tym i na tamtym świecie?

— Nic? — odpowiada staruszek ze złymi błyskami w oczach. — Nie można powiedzieć, że nic. Takie same spodenki dostaną mężczyźni na tamtym świecie. Kobiety również dostaną takie same koszulki przewiewne i cienkie, w których, jak powiadasz, spacerują w Kazimierzu. Spodenki otrzymają mężczyźni odprasowane nieskazitelnie, z kancikami, jak to oni, eleganci, lubią, żeby im się krzywda nie stała. I kobiety dostaną swoje koszulki cieniutkie, odprasowane, wykrochmalone, wysztywnione, tak jak lubią. Ubierze ich w to Pan, który jest wcieleniem miłosierdzia, po czym otworzy szeroko bramy niebios, a na dworze uczyni mrozik, taki mrozik, wobec którego Sybir to zero, nul. I wtedy Pan powie jedno tylko krótkie słowo — marsz!

Za oknami przewijała się uboga, wzruszająca wstęga polskiej prowincji, świeciło słońce, dął wiatr, który przez otwarte z obu stron okna wnosił tumany kurzu osadzając go na czarnych ubiorach i na twarzach jadących. Chwilami odczuwało się duszność taką, jak na piaszczystej, upalnej drodze. Chwilami duszność nabierała innego charakteru. Gdyśmy wjeżdżali na stację, nowi brodacze pakowali się do środka. Wsiadający widząc znajomych, wyrażali głośno zdziwienie, że X jedzie. Chociaż — od razu dodawali — wsiadający nawet wierzył, że X nie tylko pojedzie, ale że się właśnie spotkają w wagonie. Bo dlaczegoby X miał nie jechać do Góry? Czy nie jest chasydem? A będąc chasydem, gdzie ma spędzić Sądny Dzień? Dziwili się własnemu zdziwieniu. Wszelako niezależnie od zdziwienia ludzkiego kolejka szła dalej. Kto chciał, ten się modlił, kto chciał, ten opowiadał, a komu ochota była rozmawiać o interesach, rozmawiał.

2

Gdyśmy przyjechali, w Górze wrzało. Co krok spotykaliśmy Żydów, przy których tych z wagonu wspominaliśmy jako ugładzonych, oswojonych, choć przedtem tak nie uważaliśmy. Dopiero przez możność porównania doszliśmy do takiego wniosku. Chałaty miejscowe były jakieś inne od tych z wagonu. O tamte, okazało się, dbano, aby leżały, w tamtych odnajdywaliśmy teraz pewną staranność. Chałat tubylca przepasany był niedbale czarnym jedwabnym sznurem nie w pasie, lecz niżej i podczas gdy górna część, zapięta byle jak, wyglądała jak napuchła, dolna śmiesznie krótka, kołysała się nad fałdami, wytworzonymi wskutek wpuszczenia spodni do ciasnych, czarnych skarpetek. Butów nikt z miejscowych nie miał na nogach, zastępowały je łapcie. Sam ubiór nie wyczerpywał tej odrębności. Również twarze miejscowych, wskutek fantastycznych form bród i pejsów różniły się znacznie od twarzy przyjezdnych. Pejsy, które u tych ostatnich miały kształt krótkich korkociągów, u tubylców rozrastały się w pasma szerokie do ćwierci, długie do pół metra, przy czym włosy z reszty głowy były skrupulatnie zgolone. Nawet po oswojeniu się z chasydami w pociągu, widok tubylców wywierał wrażenie. W przeważnej części byli to jeszybotnicy, uczniowie szkół ortodoksyjnych, którzy zjechali z różnych stron kraju dla dalszego kształcenia. Tych chłopców widuje się nieraz w żydowskich dzielnicach Warszawy, Łodzi i Lublina, ale tam dają się jakoś ugładzić otoczeniu. Nie ma wątpliwości, że w wymienionych miejscowościach chłopcy ci również wypełniają rytuał, ale chałat noszą przecież troskliwiej, pejsom nie dają się tak rozrastać, a za pazuchę pchają o wiele mniej. Dopiero po opuszczeniu miast, gdzie mimo separacji czują się światem w świecie, dopiero po przybyciu do Góry o dominującym procencie Żydów, typ swój, abnegację swoją doprowadzają do końca. Wrażenie, jakie wywierali, było tym silniejsze, że byli to na ogół chłopcy młodzi, ładni, niekiedy bardzo piękni pięknem niewinności, unikającej ciemnych, wynaturzających ścieżek rozpusty i użycia.

W pobliżu domu rabina ruch był najżywszy. Tu mieściły się kuchnie brudne i ciemne, przepełnione tłumem kontentującym się ulubionymi potrawami, rozstawionymi na kontuarach w komplecie. Grube Żydówki w perukach koloru wypłowiałej czerni, jak wielkie kury dreptały wokoło tłumu gości sprzątając po nich ruchem uroczystym. Wrzaski, krzyki, nawoływania nie przeszkadzały w kontemplacji osobnikom pijącym herbatę, zagryzaną sernikiem. Na ulicy wózkarze skrzeczącymi głosami zalecali resztki owoców rozlanym kobietom w starych spódnicach koloru dobrze wysiedzianych szlufbanków. Patrząc z uporem w ziemię, niektórzy z przechodniów mówili do siebie na głos. Gdyby ulica nie była tak uszczelniona tłumem, można by sądzić, że powtarzają zadaną rolę. Inni przechodnie, z figlarnymi oczkami i wysuniętymi ku dołowi brodami w kształcie rogu, spiesząc przed siebie na widok jegomościa lepiej ubranego raptem przystawali, trzepotali rączkami jak ptak skrzydłem, otwierali szeroko usta, oczy, rzekłbyś, zupełnie się otwierali, i mniejsza o to czy było czy nie było komu, rzucali głośno: Widzicie! Nowy chasyd! Nowy chasyd w Górze! Głośno się śmiejąc patrzyli chwilę za intruzem i powoli zamykali usta, rzekłbyś, zupełnie się zamykali i biegli naprzód, jakby więcej już chwili czasu nie mieli.

Do domu cadyka przechodziło się przez ciemną sień, prowadzącą na podwórze. Niski, biały domek, który zamieszkiwał rabin z rodziną, znajdował się po prawej stronie wchodzącego. Domek ten służył prywatnym celom, natomiast czynności związane z rytuałem odbywały się w bóżnicy, w tak zwanym besmedresz, na pół ciemnej szopie, długości 25 do 30 metrów, szerokości mniej więcej połowę tego. Przez jej środek biegło kilka żelaznych, pionowych słupów; dwie szyny wspierały sufit. Pod oknami stały stoły na kozłach, zawalone stertami zżółkłych kart i starych ksiąg. Wokoło stołów znajdowało się kilka prostych ławek. Nad drzwiami wisiały kociołki z wodą. Pod ścianą przeciwległą od wejścia znajdowała się szafa na rodały. Okna po tej stronie wychodziły na drugie podwórze, gdzie rosła nawet trawka.

W besmedresz panował teraz względny spokój. Żebracy nagabywali bez przekonania. Jeszybotnicy przechadzali się pod rękę. Nie zwracali uwagi na nikogo. Jacyś ludzie leżeli pod piecem i spali w najlepsze. Inni oparci o słupy toneli w myślach, których im nikt nie zakłócał.

Handel na podwórzu szedł w najlepsze. Chłopiec przy stole, zawalonym papierem, pokrajanym w nieduże skrawki, krzyczał: Papier, Papier! Każdemu pobożnemu Żydowi przyda się papier! Inny z flaszką zabarwionego płynu proponował dwie szklanki za piątkę tym zgrzanym szczęśliwcom, którzy powitawszy już cadyka rozsiedli się uspokojeni na ławach. Uścisnąć rękę cadyka (gejben szolim) było pierwszą czynnością chasyda w Górze. Ci, którzy jeszcze tego nie uczynili, tłoczyli się teraz za barierką. Dawniej sprawa powitania łączyła się z większymi trudnościami. Parotysięczny tłum parł do wąskich drzwi, bywały i ofiary. Dawniej istniała również milicja. Dzisiaj milicja była o tyle niepotrzebna, o ile dostęp do starca zracjonalizowano przeprowadzając wzdłuż parkanu i części muru aż do drzwi waziutką barierkę, za którą z trudem jeden człowiek się mieścił. Opierając się rękoma o plecy poprzednika tłum zwolna posuwał się naprzód, aż osiągał pokój, z którego jedne drzwi wiodły do besmedresz, drugie do cadyka. Tych ostatnich strzegł szames z dużą fularową chustką w ręku, który wycierając raz za razem czoło, błyszczące od potu, regulował ruch wchodzących i wychodzących. Osiągnąwszy pokój twarze chasydów nabierały wyrazu skupienia, powagi, poczucia ważności chwili. Tłum jakby skąpał się w innej atmosferze. Chasydzi starali się odmienić, zrzucić z siebie trud i brud codzienności. Powoli opływały ich nowe myśli, nowe wzruszenia. W żarze tych nowych uczuć rosła waga zdarzenia, które za chwilę miało nastąpić. Uczucie to nie napadało z siłą, przeciwnie, objawiało się łagodnie, miękko, jak fala miłego ciepła w letni wieczór po opuszczeniu dusznego domu. W pewnej chwili szames, regulujący ruch, odskoczył przerażony. Wynoszono zemdlonego. Czarna broda otaczała mizerną, bladą twarz, twarz dziecka. Na chwilę wypadek ten wzmógł podniecenie, ale wkrótce zatarło się ono zupełnie. Już się tam zemdlonym zajmą, doprowadzą do przytomności. W okresie Wielkich Świąt ciało należy umęczać. Żyd powinien się narażać, nie powinien się oszczędzać, czyż życie należy do niego? Gdyby należało do niego, mógłby je sterać w paskudztwach doczesnych jak inni. Tym jednak różnimy się od innych — świadomością, że życie człowieka nie do niego należy, choć jego jest sprawą, co z nim pocznie. Że nadwyręży je, by zobaczyć najsprawiedliwszego między sprawiedliwymi, cóż może lepszego uczynić?

Wreszcie wchodzimy do izby, w której znajduje się starzec. Panuje tu mrok. Naraz zapomina się, że zostawiono dzień pełen słońca. Jedyne okno, wychodzące na wschód, do połowy przysłonięte jest okiennicą. W części oświetlonej stoi starzec mały, krępy, widocznie zmęczony. Opiera się jednym kolanem o krzesło. Przed nim na stole bieli się stos oddanych przez wyznawców kartek, zawierających najróżniejsze, mniej doraźne prośby. Gdy chodzi o prośbę doraźną, o chorobę kogoś bliskiego, czy o coś takiego, gdzie zmiłowania Bożego potrzeba zaraz, bo jutro może być za późno, wtedy wolno prosić ustnie. Takich próśb starzec słucha pilnie, ale szames zdradza zniecierpliwienie. Na jego twarzy występują oznaki zdenerwowania, ilekroć ktoś przeciągą chwilę potrzebną do uściśnięcia ręki, miękkiej i łagodnej. Szames musi dbać o to, aby czas ten był jak najkrótszy, właśnie dlatego, że każdy rad by go przedłużyć. Witający starają się całych siebie zamienić na spojrzenie, zmieścić wszystkie swoje zalety w spojrzeniu, które mają rzucić w tej jedynej ich chwili. Opierając się ręką o poręcz krzesła wita się starzec z każdym nie wysilając się, nie walcząc ze zmęczeniem, widocznym na twarzy zmarszczonej i okolonej białą brodą. W jego dużych, łagodnych i przygaszonych oczach czai się ta tak dobrze znana z wszelkich żydowskich twarzy żałość oraz poczucie władzy, o którą jak gdyby nie dbał. Starczą rękę podaje niedbale i oczekuje następnego. Tłum cofa się tyłem ku drzwiom. Za drzwiami oddycha się swobodniej. Dla każdego był to wysiłek, każdy w chwilę tę włożył wiele. Życie się na chwilę skulminowało.

Teraz podwórze nie razi już ponurością ani wilgocią jak przedtem, wydaje się jakby zalane światłem, powietrze czyste, jak w najszczerszym polu. Ludzie oddychają pełniej, zaś na pytanie, czy go już widzieli, odpowiadają: Dzięki Najwyższemu! Dzięki Najwyższemu!

3

Wrażenie jednolitości po jako takim oswojeniu się z tłumem zaczynało słabnąć. W ubiorach mimo wąskiej skali obowiązujących form dostrzegało się pewne różnice, czerń chałatów okazała się niejednakowa, zależna nie tylko od gatunku towaru, lecz i od ilości zjełczałego tłuszczu. Zaczynało się odróżniać twarze, ba! same brody zmieniły wymowę. Na temat bród słyszałem anegdotę. Przychodzi do domu bogacz, któremu Bóg niczego nie poskąpił, i pyta żony: No, powiedz mi, moja koszerna żono, co dzisiaj masz na obiad? Gdy słyszy — w niedzielę kura, w poniedziałek — indyczka, we wtorek — gęś, gładzi brodę z zadowoleniem, włos każdy wyciąga do końca i dlatego ma brodę gładką, czystą. Natomiast biedak, który słyszy w niedzielę, w poniedziałek i we wtorek — kartofle, drapie i mierzwi sobie brodę i dlatego właśnie ma brzydką i zmierzwioną brodę.

W tłumie na ogół przeważała biedota, drobni kupcy, właściciele sklepików, straganiarze z placów targowych, rzemieślnicy, nikły był procent bogatszych. Przeważał typ biedaka rzutkiego, takiego, o którym wiadomo, że dla chleba pójdzie diabłu pod rogi. U takiego nasilenie religijne jest mniejsze aniżeli u jeszybotników, ale poczucie żydostwa bodaj czy nie większe. Są nawet obiektywne powody, które taki stan rzeczy usprawiedliwiają. Jeżeli wziąć pod uwagę codzienne zajęcia handlowe, zoba-

*) Fragment z powieści „Lato", której drugie wydanie ma się ukazać w dniach najbliższych.

KALWARII *)

czymy, że w swych drobnych interesach w sklepiku, na placu targowym, wystawiany jest na pogardę i poniżenie, które pcha go ku żydostwu. Im bardziej w zetknięciu ze światem straganiarz ten odczuwa swoją nicość, tym silniej zasklepia się w sobie, w swym środowisku, w wierze, która przywraca mu godność, która go rehabilituje. Za mało wagi przypisuje się ludzkiej potrzebie godności; psychologicznie jest to uczucie równie silne jak fizycznie głód. Poniewierana godność ludzka jest najlepszym sprzymierzeńcem fanatyzmu.

Procentowo handlarze wśród przyjezdnych zajmowali pierwsze miejsce. Promienieli oni wprost z uciechy. Rozprawiali bez końca o sprawach światowych politycznych, podług utartych wzorów humorystycznych, raz po raz kłaniając się z szacunkiem Żydom, o których było wiadomo, że poświęcili się badaniu świętych ksiąg. Do takich odnosili się z respektem wierząc, że ci zbawiają pokolenia, że o k u p u j ą c z a s, w k t ó r y m ż y j ą.

Suto obrośnięty młodzieniec, na którego w pewnej chwili zwróciliśmy uwagę, miał na sobie chałat, który tu nawet raził, twarz zmęczoną, wymizerowaną. Już od dłuższej chwili załamywał ręce. Nie patrzył specjalnie na nikogo, widać było, że chce coś powiedzieć, coś go jednak powstrzymywało. Wreszcie krzyknął: „Żydzi, słyszycie. Dajcie mi jeść! Dajcie mi jeść! Jutro muszę pościć, ale dlaczego dzisiaj?"

4

Z każdą nową falą zmierzchu nastrój w domach ulegał zmianie. W czasie uczty, ostatniej przed postem, który zaczynał się z pojawieniem pierwszych gwiazd na niebie, przy gęsto obsadzonych stołach rozmawiano bez pośpiechu, mniej gwałtownie niż zwykle, czas liczył się na minuty, wszelako zachowywano się, jakby go było nie wiedzieć jak dużo, rozprawiano ze swadą żywo gestykulując, wyrzucano z siebie ochłapy burzliwej codzienności. Wkrótce jednakże tempo zwolniło się, rozmowy poczynały się toczyć luźniej, aż w pewnej chwili ktoś ze stołowników — których pełno było wszędzie — uczynił nerwowy ruch ręką, rysy jego twarzy nabrały ostrości, powiódł okiem po zebranych i zapytał zgoła bez akcentu: co ludzie myślą, czy jeszcze nie czas? W tej chwili potrzeba przygotowania się, która do tej pory tkwiła w dalszych warstwach świadomości, wypłynęła u wszystkich w pełni. Wysłano od stołu najmłodszego, aby spojrzał na niebo — „C o n i e b o m ó w i ?", „C z y j u ż c z a s ?" Najmłodszy bezzwłocznie zerwał się i wyszedł, lecz gdy wrócił, nikt go już uwagą nie darzył, rzekłbyś: zapomniano o nim. Nie mogło być inaczej. Sprawa przygotowania się skoro raz wystąpiła, już jej nie można było zepchnąć w szary kąt. Chodziło wszak o odpowiednie przyjęcie najświętszej nocy w roku, uczynienie siebie godnym jej, wyzbycie się powszedniości. Więc spokój, który zapanował po wyjściu najmłodszego, już się utrzymał. Zrobiło się ciszej i jakby ciaśniej. Silniejsze, bardziej zdecydowane jednostki podniosły się od stołów chcąc się zamknąć w sobie. Natury miękkie, choć samotność była im niemniej potrzebna, poczekały, aż stół opustoszeje i wówczas, wciąż oglądając się na drugich, jakby i teraz jeszcze należało usprawiedliwić się ze swych czynów, uszły w kąt, gdzie długie chwile traciły na walce z sobą, na zrzucenie ciężaru obecności drugich, co wreszcie im się udało. Powszechnie starano się wyzuć z codzienności, poddać ciśnieniu nadchodzącej nocy, obudzić uczucia, na których tle łatwiej o zmianę. Biesiadnikom przychodziło to tym łatwiej, że noc tę, jej grozę, jej ducha, jej treść mieli we krwi. Była to bowiem i c h noc, od wielu pokoleń taka sama, niezmienna, noc w roku szczytowa, już od wielu pokoleń szczytowa. Chodzili po izbach to tu, to tam, oświadczali, że zmierzch zapada, że j u ż c z a s p ó j ś ć s i ę p o m o d l i ć. Nie wiadomo nawet komu to mówili, ot tak, zwyczajnie, po ludzku pragnęli urealnić się po przepastnych myślach, w jakich się uprzednio byli zatracili.

W krótki czas potem ulica zaludniła się pojedyńczymi postaciami ,kroczącymi w głębokim skupieniu. W na wpół otwartych drzwiach domostw w dużych chustach na głowach pozostały małe dziewczynki, które długo i uporczywie patrzyły przed siebie. Naraz dziewczynki te ogarnął lęk, który jak gdyby uchodził z dużych świec płonących wszędzie. Dziewczynki chcąc dodać sobie odwagi zanuciły dziecinną pieśń, która zwilżyła im oczy. Na wszystko wokoło padła kropiasta, szara mgła. Małym dziewczynkom uczyniło się błogo i przestały rozróżniać, czy mgła tkwi w ich przepełnionych łzami oczach, czy też w samych przedmiotach.

Od wschodu po zachód, od południa po północ wisiało niebo, jak rozrzedzona sadza,zaś u schyłku nieboskłonu odcinał się pas, tak jasny, jakby nie było tam nocy, lecz bielutki dzień. W besmedresz na twardych ławkach już siedzieli pierwsi Żydzi, przybysze z dalekich stron, cicho zawodząc w świetle migotliwych świec, tkwiących w skrzynkach z piaskiem. Młodzi chłopcy wdrapywali się na słupy, piece i okna, aby zapewnić sobie najlepsze miejsce i nie uronić nic z widowiska, które miało nastąpić. We wszystkich żydowskich mieszkaniach, osadzone w garnkach blaszanych, paliły się duże świece jak kwiaty nieznane.

Opuściwszy domy Żydzi kierowali się w stronę besmedresz krocząc przed siebie powoli, z pokorą, w skupieniu, z oczami utkwionymi w ziemię. Łagodne powietrze było szare jak kamienie bruku, zdawało się również jakby przesycone zapachem ciepłych kamieni. Nagle — z tyłu, z końca ulicy, gdzie stał niewielki kościołek, za którym rozpoczynała się druga uliczka, stąd niewidoczna — z miejsca skrytego poza kościołem, jakby zza otwartych znienacka podwojów groźnych wnętrz, wypłynął śpiew ciężki, daleki. Potem śpiew zafalował silniej, tony otrzymały brzmienie wyraźne, zza węgła ukazała się jasna plama komży, ciemne zarysy tłumu, wysoko w powietrzu zawisł krzyż. I — nim stało się wiadome, jaki charakter ma gromada, wdzierająca się w stronę żydowską, i tylko śpiew, nie śpiew, lecz zapowiedź, jakby kamieniami dudniąca, wypłynęła pod czarne niebo czając się ponad mieściną jak cienka smużka straszliwego gazu, gdy ujrzało się krzyż, drewniany krzyż wysoko w powietrzu, symbol, lecz symbol znany tu z innej strony, ulica, żydowska ulica, i wszystko, co się na niej znajdowało, zadrgało. Potem zdawało się, że wszystko gęstnieje coraz bardziej, coraz więcej i więcej, coraz szybciej i szybciej, zdawało się, że ludzie, domy, mieszkania, okna, drzwi, wszystko drży z przerażenia, puchnie z grozy, lecz puchnie tajemnie, w sobie, na zewnątrz nic się nie zmienia, na zewnątrz jest tylko milczenie, milczenie, które dusi, które dławi, tym okrutniejsze, im bardziej tłumione; zdawało się, że drzwi same się zatrzaskują, uszczelniają, wnętrza mieszkań pustoszeją, cienie na ulicach zapadają się, nicestwieją, giną, — krzyk wielki, krzyk przez milczenie przeszedł ulice — i w tym milczeniu słyszało się głos trwogi: Żydzi, uciekajcie od okien! Żydzi, uciekajcie z mieszkań! Do piwnic! Do podziemi! Świat znowu szuka żydowskich ofiar! Żydzi, ratujcie wasze dusze! Krzyż! Krzyż!

Potem, gdy zza węgła wysunął się kondukt pogrzebowy, zwykły kondukt pogrzebowy, i widać było, że po prostu ksiądz śpiewa egzekwie — milczenie zostało przełamane. Postacie w czarnych chałatach posuwały się cichaczem naprzód, krzyż przenikał w głąb ulicy, słychać było trzask zamykanych okien, widać było ciepłe światełka świec za oknami, ludzie schodzili z dróg i chodników, ginęli w bramach i podwórzach, ulica oczyszczała się przed kondukterm, aż zupełnie opustoszała i po raz drugi tego wieczoru zapanowało milczenie — inne już milczenie.

5

Temu, co się działo w besmedresz, nie łatwo dać wyraz. Na odcinku, gdzie z trudem znalazłoby pomieszczenie dwieście osób, tłoczyło się kilka tysięcy wśród gwałtownych kołysań, które od jednego zamachu kogoś spod drzwi wypychały na drugi koniec. Panował żar i zaduch. Z przymkniętymi oczami tłum biernie poddawał się szalonej fali. Inne sprawy były ważniejsze od niewygód ciała. Kantor — chazan, zawodząc mówił pieśń Kol Nidre. Pieśń ta nic już nie znaczy, tekst jest bez pokrycia, przestarzały, archaiczny, nawet w tak archaicznym środowisku jak tutejsze, lecz nie tekst miał znaczenie, nie tekst przenikał do głębi dusz, lecz jęk, zawodzenie i rozpacz. Był w tym śpiewie los żydowski, los straszliwy, niezmienny od pokoleń jak pogromy, okrutny, a przecież drogi zarazem. Chazan mówił pieśń, w której śpiewał ból, płakała historia, a serca przysięgały, że jak nie zdradziły dotąd, tak nie zdradzą i w przyszłości. Chazan wołał ku niebu teraz już ciemnemu, już nocnemu, szlochał tłum, szlochały dzieci, płakał naród, płakała każda cząstka w besmedresz, płonęły poskręcane od żaru świece. Chazan miał mocny głos, ale do dalszych zakątków podwórza docierało tylko słabe echo tak, że Żydzi tam stojący musieli się dobrze skupić i wytężyć słuch.

Późną nocą malarz Adam zaprowadził mnie na strych bóżnicy, gdzie na stosach luźnych kartek ze starych ksiąg, albo wprost na ziemi spali najbiedniejsi, których stać było tylko na bilet do Góry, lecz nie na pokój. Nie tylko żebracy leżeli tu pokotem, ale również tacy, którzy mogli sobie pozwolić na przyzwoity nocleg. Dzisiejszą noc dla udręki ciała woleli jednak tak spędzić. Jeszybotnicy ślęczeli nad świętymi tekstami. Światła było niewiele, krańce strychu, gdzie stał piec do wypieku mac na Paschę, tonęły w mroku.

Na tym strychu młodzieniec promieniejący jak anioł rzekł do nas:

— Rano, nim zabiorę się do modlitwy, robię mały obrachunek sumienia, uprzytamniam sobie, kim jestem. Nędznym, lichym robakiem, co z prochu powstał i w proch się obróci, drobnym ziarnkiem, niczym, straszliwie niczym. I uprzytamniam sobie, przed kim mam stanąć: przed Panem i Stwórcą tego wszystkiego, co oczy moje zobaczyć mogą, a sen wyśnić. I gdy potem natrafiam na słowo „Boże", ogarnia mnie wrażenie, jakbym się na nowo narodził. Jestem tylko człowiekiem, odczuwam ból i odczuwam głód, ale czymże jest mój ból, czym głód wobec tego, co się we mnie dokonuje?

Kiedy mi smutno, zagłębiam się w sobie — bo to najważniejsze, aby człowiek ustawicznie sprawdzał siebie, ustawicznie wyrywał chwasty, którymi zarasta — i odnajduję, że czegoś mi brak, czegoś serce moje pragnie. Ale te popędy serca należy zwalczać, gdyż wywołują smutek, w smutku zaś objawia się wieczne pożądanie, którego zaspokoić i tak nie można. Wznoszę wtedy oczy ku niebu, widzę słońce, miło grzejące w dzień, księżyc, ukojnie świecący w nocy, widzę drzewa, kołyszące się w upojnym śpiewie ku czci Stwórcy, widzę harmonię, panującą w świecie. W porównaniu z tym czym jest moja nędza, moje niezadowolenie, które czas i tak zmyje?...

— Gdy myślę o tym wszystkim tutaj — to są już słowa malarza Adama, wypowiedziane do mnie później — o tym świecie, który nam za mało p a c h n i e, o czym nie możemy zapomnieć, widzę kąt, bardzo ciemny, małe okno, przez które zagląda obcy dzień, piękny i jasny, który dniem jest dopiero za murami getta, tu zaś jest okresem jasności, trwającym niewiele godzin, słyszę burzę czy nawet strzały, tak strzały, widzę młodzieńca, który ma takie same fantastyczne kudły, takie same żarliwe oczy, jak ten, który dopiero co z nami rozmawiał. Huk wystrzałów budzi w nim przeróżne uczucia, coś w nim rośnie i rośnie, aż w pewnym momencie jakieś słowo gwałtem wyrywa mu się z ust, rozsadza jego nędzny kąt i zbliża mu niebo. Słowem tym jest właśnie B ó g!

6

Tej nocy spaliśmy niewiele. Bez przerwy rozlegał się szept modlitewny, nieustannie trwały jęki ze snu, płonęły nieliczne świece. Wreszcie wstał brudny świt. Prawie cały dzień spędziliśmy w budynku bóżniczym. Co nas uderzało, to niezwykła ilość dzieci. Widziało się starsze i zupełnie drobne, paradujące w dżokejkach, po których bokach zwisały pejsy jak duże wykrzykniki, w tak samo jak u dorosłych skrojonych chałacikach z jedwabiu lub płótna, z nieodłącznym sznurem w pasie. Łydki malców ginęły w wysokich butach ukazując pocieszne kolanka. Dzieciaki robiły wrażenie przebranych, co bardziej jeszcze potęgowało ich dziecięcość. Istotki te pełne uroku i ciepła, budzące najlepsze instynkty — dzieci są jednym z najpotężniejszych katalizatorów dobra — zdawały się być głęboko świadome tego, po co przyjechały, w jakim celu ojcowie zabrali je ze sobą.

Trzeba się było przyjrzeć stosunkowi rodziców nie do cztero — czy ośmioletnich, ale cokolwiek starszych, post bowiem obowiązuje dopiero od roku trzynastego — trzeba było się przyjrzeć, jak wyglądały zbliżenia między nimi a ich ojcami. Chwile te w błyskawicznym skrócie wiele odzwierciedlały. Uczucie wspólności sięgało granic, których długo wytrzymać nie mogli ani ojcowie ani dzieci.

Wyglądało to tak: Do spacerującego po podwórzu chłopaczka, zatopionego w myślach, podchodzi ojciec. Ziemista, zgaszona postem, wycieńczona wysiłkiem twarz ojca powoli zmienia się, ożywia, wypełnia. W oczach, które kieruje na syna, błyska miłość. Uczuciom swoim jednakowoż ojciec nie daje bezpośredniego ujścia. Komplikuje je, chce bowiem wielu rzeczy dokonać na raz. Chce chłopca podnieść na duchu, pokazać mu, że taki jeden post niewiele znaczy. Niech się przyjrzy jemu — ojcu, jak on post znosi. I czy nie cieszy się tym, iż jeszcze jeden Sądny Dzień przepości. A który to już z kolei post? Cóż milszego niż taki post i jakiś kapitał pewniejszy dziś, kiedy włos siwy, a myśl coraz częściej wybiega t a m, coraz częściej łączy się z duszami zmarłych, bo przecie młodość nie trwa wiecznie — mija, jakże szybko mija! Już trzydzieści lub czterdzieści samych Sądnych Dni on, ojciec, ma za sobą (prócz innych postów), drobiazg to, ale jakoś lżej z takim drobiazgiem. Niewiele to, ale zawsze świadczy o tym, że się pamiętało o Bogu, postępowało jak trzeba. To jedna strona rozmyślań.

Z drugiej zaś strony ojciec uprzytamnia sobie, że stoi oto przed własnym dzieckiem, za które jest odpowiedzialny, które — chwała Najwyższemu — nie zeszło z p r a w d z i w e j drogi, stąpa w odpowiednie ślady, drogą od wieków wyznaczoną, tkwi w pochodzie narodu. Dzięki synowi właśnie, gdy ojciec zamknie oczy, nic się nie zmieni. Oto stoi przed nim widomy znak trwania na ziemi, ktoś bodajże ważniejszy od niego samego, bo cóż on, jeszcze pięć, jeszcze dziesięć lat, ale tu oto nowe się życie zaczyna, człowiek nowy. Gdy ojciec wszystkie te uczucia wkłada w niewinne, śmieszne nawet pytanie, a jakże, śmieszne, bowiem waga istotna, podskórna jest zbyt wielka, aby słowa mogły ją w całości oddać, gdy mówi: Widzę, że dusza z ciebie coraz uchodzi, zapewne jesteś głodny? — czuje poruszenie w każdym włóknie ciała i duszy.

A chłopaczek? Chłopak w pierwszej chwili urażony jest tym, że przy ludziach podkreślają jego nieletniość, że wyrażają głośno wątpliwości, czy sprosta podstawowemu obowiązkowi. W pierwszej chwili chłopak odwraca głowę ze wstydem. Wypieki występują mu na twarzy. Potem zaczynają go nurtować i dręczyć przeróżne uczucia. Chwyta go gorączka, taka wewnętrzna gorączka, podobna do żaru bóżnicznego, dokonywując w nim głębokich przemian, wydobywając jego wiarę, odsłaniając go całego. W tej chwili chłopiec, gdyby był starszy, mógłby stwierdzić, że wszystką jego wiarę pokrywa ojciec. Cokolwiek w nim istnieje, istnieje poprzez ojca, który tkwi w każdym synowskim uczuciu, zapełnia go do ostatniej komórki. Gdyby chłopiec był nieco starszy, odczułby teraz istotność ojca tak silnie, że wszystko by o nim wiedział i o jego trzydziestu czy czterdziestu postach, jak również o tym, że on, syn, ma je poprowadzić dalej, iż po to właśnie żyje. Dzisiaj chłopaczek nie wie jeszcze tego, ale wiele już czuje. Pod wpływem tych wszystkich nieskrystalizowanych uczuć chcąc okazać się dorosłym odpowiada tak właśnie, jak trzynastoletni chłopaczek odpowiadać powinien:

— Nie czuję głodu. Jeszcze bym i jutrzejszy dzień przepościł i nie czuł głodu!...

Oto w otoczeniu Żydów stali naprzeciwko siebie ojcowie i dzieci. Ciała jednych i drugich przebiegał dreszcz wspólności, radość płynąca z poczucia wierności jednemu i temu samemu. Wielka, nieludzka wprost czułość ogarniała ich serca łącząc i jednocząc ich silniej niż kiedykolwiek. Wtedy to, aby nie paść sobie w ramiona, odwracali głowy, wstydliwie uśmiechali się i z niepokojem odchodzili na bok.

Nie zawsze sprawy te tak wyglądały. Jak okrutny musiał być ból, gdy wszystkie uczucia wyżej nazwane biegły w przeciwnym kierunku. W jak dotkliwy sposób serce ojcowskie było ranione, gdy jego wiara doznała nagle wstrząsu i zaprzeczenia, przez odstępstwo, przez odejście syna. Byli w tłumie ojcowie, którzy kielich goryczy wypili do dna. Ci wzrokiem pełnym bolesnej zazdrości spoglądali na młodzieńców, przybyłych niezależnie od swych rodziców, a czasami nawet wbrew ich woli. Ojcowie tych jeszybotników, jako ludzie na pół postępowi, strzygli brody (jest różnica pomiędzy strzyżeniem a goleniem brody, ale i strzyc nie wolno) — tych oto dzisiejszych jeszybotników posyłali do szkoły i chederu. Po czasie okazało się, że wpływ chederu był silniejszy, chłopak rzucał naukę, uwagę coraz silniejszą kierował na talmud, zapuszczał brodę i pejsy, „przerabiał się".

Dużo tu było takich jeszybotników wbrew woli rodziców, tylu, że cierpienie ojców, których synowie poszli obcą, odszczepieńczą drogą, na zasadzie równowagi, powinnoby doznać ulgi. Ale zasada równowagi

nie obowiązuje w świecie, a ból wszelki dochodzi indywidualnie odsłaniając ludzką samotność. Do radości potrzeba ludzi, lecz ból, jak żadne inne uczucie, odrywa nas od nich, stawia twarzą w twarz wobec grozy świata, wydobywa naszą do niego nieprzystawalność, naszą samotność.

7

Wracaliśmy.

Pociąg był pełen tych samych ludzi, z którymi jechaliśmy w tę stronę. Żebracy wołali:

— Złodzieje! Obłudnicy! Uciekliście od rabina zaraz po zapaleniu pierwszej świeczki, żeby mu ofiary nie dać, teraz i na nas chcecie oszczędzać! Przed godziną kajaliście się: p o k u t a i o f i a r n o ś ć z b a w i n a s o d ś m i e r c i (jest takie miejsce w modlitwie). Nu, gdzie wasza pokuta? Nu, gdzie wasza ofiarość?

Wracał z nami również Jan Cerber, wróżbita. Zawarliśmy z nim znajomość w jedynym polskim szynku w Górze, gdzie rezydował wśród plakatów i ulotek, zachwalających jego tajemny i niepospolity kunszt przepowiadania przyszłości z kart i z rąk.

— Przyjeżdżam tu wprost z Zielonki pod Warszawą — rzekł do nas zaraz po poznaniu się — i widzę tłumy ludzi. Tysiąc głupich, myślę sobie, ale tysiączny pierwszy? Nie, powiadam sobie, nie wyjadę stąd nie ujrzawszy pana cadyka. Wchodzę na podwórze, pełne narodu, i mówię: „Proszę panów, chciałem się zobaczyć z panem cadykiem". Wystawiają na mnie oczy. „Z Zielonki, proszę panów, prosto przyjeżdżam, od pana rabina Blumenfelda otrzymałem list, stwierdzający, że uznaję nauki kabalistyczne, które oddają mi niepospolite usługi w moim zawodzie i pierwszym moim słowem, tak jak panów, jest słowo Elokim, względnie Adonai, czyli Bóg albo Jezus Chrystus po naszemu, i nie ruszę się stąd dopóki świętej osoby nie ujrzę". Otacza mnie tłum, niektórzy szemrzą po hebrajsku, zdaje im się, że nie rozumiem, a ja po hebrajsku tak, jak szanowny pan po polsku. W końcu zgadzają się. „Niech pan, powiadają, kartkę napisze tak, jak każdy". Arkusz czystego papieru kupiłem, stalkę nową kupiłem i tylko to jedno podanie napisałem i schowałem jak talizman. Sekretarz odbiera ode mnie papier, po chwili wraca: „Pan cadyk prosi". Wszedłem i zadrżałem. Stanąłem hardo na baczność, wyprężyłem się, zasalutowałem, a pan cadyk podniósłszy rękę pobłogosławił mnie. I, proszę drogich panów, choć trzeci dzień siedzę i hotel płacę i utrzymanie mnie kosztuje, a chłopstwo skape i drańskie jak nigdzie, tak że jeszcze grosza nie zarobiłem, zadowolony jestem, bom widział pana cadyka. Chciałem nawet dać ofiarę na biednych, ale nie przyjęli.

Wróż-filut drzemał teraz w kącie przedziału. Dudniły koła, snopy iskier wylatywały w powietrze jak złe krzyki i ginęły wśród nocy. Malarz Adam był wciąż poruszony. Natomiast Karol, młody lekarz, który przyjechał wraz z nami, nadal ironizował, że to upojenie Adama nie potrwa długo „nawet u człowieka, który nie dowierza własnemu nosowi". Adam bardzo prędko skończy „z krwią" i na powiedzenia doktora X. zacznie patrzeć innymi oczami. Ważne w tym wypadku są nie reakcje pacjentów. Ważny jest lekarz, który potrafi jednym, jak drugim pomóc bez względu na ich odmienność. Uśmiechnąć się współczująco do jednych i drugich. Niechaj tylko nastaną groźne i puste wieczory październikowe, kiedy Berens w rynku świeci jak latarnia morska, za którą jest ciemność i noc, obcość i sen powszechny, odezwie się wówczas taki głos życia, taka potrzeba życia, że wszystko, czego byliśmy świadkami w ostatnim okresie, minie jak zły sen. Wówczas — do widzenia, addio k r e w!

Miał tłustą twarz i złe niebieskie oczy ten Karol, ale nie chodziło mi o jego oczy. Przypomniałem sobie, że bardzo niedawno i on sam podlegał ciemnym i wstecznym procesom wewnętrznym, „krwi". Nie bez wstrząsu natrafiłem na myśl, że życie nasze podobne jest do toczącego się koła, że większość z nas przemierza jego obwód. Myśli nasze uzależnione są od pozycji na kole. Niewidzialna dłoń obracając nami sprawia, iż dzisiejsza nasza pozycja przypada w udziale naszym przeciwnikom za rok, dwa lub dziesięć. Za rok, dwa lub dziesięć dochodzą oni do tych samych myśli, które są naszym chlebem powszednim dzisiaj. Wspaniałość człowieka polega na tym, że dostępna wszystkim jest pewna ilość myśli, do których na ogół dochodzą. Zaś sromota ludzka wynika z różnic pozycji na kole, z różnic interesów i pragnień. Wszyscy myślimy to samo, jeno różnocześnie, o różnym czasie. A w międzyczasie, w jakimś istnym międzyczasie toczymy zaciekłą walkę, stanowiącą prawdziwą historię ludzką!..

Karol z pobłażaniem spoglądał na Adama, którego myśli — jak mu się zdawało — zdążył wszystkie do jednej poznać. Zdążył już nawet znaleźć właściwy do nich stosunek. Natomiast Adam poczynił stwierdzenie, że Karol idzie z nim tylko do pewnego punktu, po czym zaczyna się granica, nieprzekraczalna granica dzieląca jednego człowieka od drugiego.

Dudnił pociąg. Za oknem wyły psy.

Adolf Rudnicki

ADAM WAŻYK

Spór o malarstwo

Artykuł T. Dobrowolskiego „o hermetyźmie i społecznej izolacji dzisiejszego malarstwa" („Odrodzenie" Nr 80) wywołał gwałtowną replikę Przybosia i w konsekwencji polemikę Kotta z Przybosiem, która przerzuciła się i na roztrząsania literackie. (Przyboś: „Próba oka" „Odrodzenie" Nr 84 „Temat malarski" Nr 87 Kott: „Nieoczekiwany tradycjonalizm" „Kuźnica" Nr 29. Przyboś: „Szkiełkiem i okiem", „Odrodzenie Nr 89). O rozważaniach T. Dobrowolskiego pisał też w „Przeglądzie Artystycznym" F. Tesseyre, zarzucając im brak godziwego kryterium. Bądź co bądź T. Dobrowolski próbował wyjść poza odczucie subiektywne, konstrukcję wrażeń, relację impresyjną, starał się, jak zaznaczył, odrzucić „nadbudowę frazeologiczną" pewnych kierunków współczesnego malarstwa francuskiego, czyli to, co malarze sami o sobie mówią. Krytyk, który chce coś powiedzieć o malarstwie jako produkcie kultury, a sztuka — choćby kto stanął na głowie — nie będzie niczym innym, musi ujawnić tendencje, z których się obraz zrodził, poszukać przede wszystkim kryteriów ogólniejszych, nie technicznych.

T. Dobrowolski posłużył się opisem, ulegając złudzeniu, że opis może zastąpić analizę. Opis jest metodą realizmu naiwnego, który odróżnia przedmioty i cechy przedmiotów, lekceważąc związki między nimi. Ponieważ na obrazach są rzeczy i ludzie, krytyk porównuje to z rzeczami i ludźmi. A tymczasem rzeczywistość — to nietylko ludzie i rzeczy, to równocześnie zespół stosunków, które zmieniając się tworzą życie społeczne, historię, kulturę, zmieniają ludzi i rzeczy. W konsekwencji metoda opisu nie uwzględnia ani historii, ani stanu kultury ogólnej. Szczególnie kompromituje tę metodę przykład tego nurtu malarstwa współczesnego (kubiści, poszczególne fazy Picasso, nadrealiści), które przestało odbijać nawet czysto wzrokowe relacje świata rzeczywistego, oderwało od nich swoją wizję. Nic nikomu nie przyjdzie ze stwierdzenia, że na obrazach Picassa jakieś człekokształtne trójkąty zastępują ludzi. Te trójkąty są jednym z wielu możliwych skutków oderwania wyobraźni od podłoża historycznego i kulturalnego. Nie w poszczególnych stylach i kierunkach tego nurtu, ale w tym akcie oderwania wyraża się nowy w malarstwie etap, który nastąpił po impresjoniźmie. Jak łatwo zauważyć, to zerwanie relacji, odrzucenie nawet wrażeniowych związków rzeczywistych nie jest wynalazkiem stylu malarskiego, to samo odbyło się w pewnych nurtach literackich. Wierny swojej filozofii realizmu naiwnego T. Dobrowolski, propagując powrót do realizmu w malarstwie określa go jako „Zwrot do rzeczywistości obiektywnej, do przedmiotów i człowieka". Tymczasem powrót do rzeczywistości to zupełnie coś innego, niż dobroduszny powrót do przedmiotów i człowieka. Dopiero przemiana postawy ideologicznej stosunku do rzeczywistości społecznej i kultury pozwoli malarzom odbudować w swojej wizji świat relacji rzeczywistych. Wtedy się okaże, czy na ich płótnach postać człowieka może być podobna do trójkąta, czy składać się z kropek barwnych czy rozpływać się w magmie światło-przestrzennej.

Nic mnie to nie pocieszy, kiedy zobaczę na salonie pięćset jabłek na stu półmiskach, bardziej namacalnych niż na salonach dzisiejszych. Malarze naprawdę wracający do rzeczywistości przypomną sobie, że świat zna jeszcze inne zbratania, nie tylko jabłka z półmiskiem, inne współzależności, nietylko kraplaka z bielą.

Kiedy przestaniemy nareszcie traktować rzeczywistość jako rupieciarnię rzeczy i ludzi, wtedy samoczynnie bez dodatkowych restrykcji, odgrodzimy się od wszelkich tendencyj naturalistycznych, wyklinanych tak namiętnie zarówno przez realistów, jak i wrogów realizmu. Kto mówi w sztuce o przedmiotach, bytach realnych, albo nawet środkach malarskich, niczym nie zaprzecza traktowania tematu jako przypadkowej anegdoty, dopuszcza akcydentalność w układzie rzeczy i postaci, drobiazgowość okolicznościową, słowem to wszystko, co charakteryzowało drobnomieszczański naturalizm ubiegłego wieku.

Stąd wynikła dla Przybosia okazja do zrównywania wszelkich postulatów powrotu do malarstwa tematycznego z niedorozwojem kulturalnym konsumentów, którzy widzą w obrazie tylko przedmioty, osoby, zdarzenia i których stosunek do malarstwa odpowiada fazie naturalistycznego „podobieństwa". Zacytuję Przybosia:

„Obraz — jeśli go doświadczam jako dzieła plastyki — to nie dodatek ilustracyjny do studiów historycznych. Nie można patrzeć na obraz jak np. na maszynę rotacyjną, która ileż więcej i bezpośredniej świadczy o kulturze XIX wieku! Refleksje historyczno - kulturalne, socjologiczne itp. rodzić się mogą, jeśli wola, później, najpierw trzeba patrzeć na obraz, a potem **poza** jego ramy. To tak proste, jak prostą jest prawdziwa sztuka. Lecz Kott, Dobrowolski i wielu innych spoglądają pod obraz, za obraz, nie chcą patrzeć na to, co się dzieje wśród ram. Nie chcący mieć oczu zezują na wszystko inne **obok** sztuki malarskiej, **żądają wszystkiego, tylko nie piękna.** Żądają — Kott solidaryzuje się z tymi żądaniami — np. „obiektywnej rzeczywistości" lub „bytu fizycznego przedmiotów", jakby nie było dość i „obiektywnej rzeczywistości" i „fizycznych przedmiotów" poza obrazem. Nie wystarcza im obiektywna rzeczywistość dobrego obrazu, tj. kolorowej wizji świata, ani byt artystyczny przedmiotu sztuki.

Gdy patrzę na obraz — to jego treść anegdotyczna (mam ciągle na myśli tematy „wielkie" kompozycje wielofiguralne) **nie narzuca się,** jest na dalszym planie uwagi, i tylko akompaniuje głównemu śpiewowi barw i form."

Zdaje się, że maszyna rotacyjna więcej świadczy o cywilizacji, o rozwoju środków produkcji, niż o kulturze obyczajowej, filozoficznej i artystycznej. Malarstwo jednak o tym wszystkim świadczy, sam Przyboś nieco dalej pisze: **„Malarz nie ilustruje swojej epoki, on ją malarsko w wizji plastycznej wyraża".** Przyboś zarzuca innym, że żądają wszystkiego, tylko nie piękna. Czy to znaczy, że on sam **żąda tylko piękna?** Jestem pewien, że na takie stanowisko **bezprogramowe** z pewnością by się nie zgodził. Niestety, Przyboś myśli swojej nie rozwinął, nie wskazał na czym ma polegać to wyrażanie epoki przez malarza. Znając jego wstręt do pustosłowia, sądzę, że potrafiłby skonkretyzować tę myśl i uniknęlibyśmy wielu nieporozumień. Możeby okazało się wtedy, że między „ilustrowaniem" a „pięknem", między półmiskiem smacznej sałaty, kołnierzykiem pana X. Y., pulchną łydką niewiadomo czyją, a symfonią barw i kształtów przelewa się całe morze malarstwa, które właśnie wyraża właściwy tej pozycji, jaką zajmuje artysta w swojej epoce, stosunek do rzeczywistości ogólnej, społecznej, i do kultury ogólnej. Piękno chyba pochodzi stąd, że obyczaje, pojęcia religijne, tendencje filozoficzne, elementy kultury ludzkiej i przyrody, współgrając ze sobą tworzą w strukturze środków malarstwa coś więcej niż sumę składników. Tlen i wodór nie są napojami, ale woda służy do picia i dla znawców ma smak wyborny. Woda nie zmienia się z biegiem historii, w malarstwie zachodzą zmiany. Przyboś opowiada, jak malarstwo wyzbyło się anegdoty. Tylko proszę powiedzieć, czy sceny z Ewangelii i Żywotów Świętych są anegdotą, czy też odbiciem i wzorem wyobrażeń religijnych? Czy „Rejtan" jest dla Polaków anegdotą? Pewien inteligentny Francuz, jak opowiada Stanisław Witkiewicz, oglądając obraz Matejki, chwalił dzielnych Polaków za to, że wyrzucają z sali tureckiego posła, który ich obraził. Francuz nie znał naszej historii, nie był do niej przywiązany, za to widział prawdopodobnie u Repina, jak to kozacy odpowiadają na poselstwo sułtana. No i cóż, tym się różniła jego kultura od naszej. Nie bronię nieszczęsnego „Rejtana" i dosyć już Norwid przymówił Matejce, że nie przełamał akcydentalności w swojej wizji historycznej. Nie bronię tematyki historycznej, chociaż Matejko tak zorganizował naszą wyobraźnię, że widzimy (i odczuwamy!) walkę z krzyżactwem poprzez „Grunwald" i „Hołd Pruski". Nie bronię historycznych wizji Dawida, niech będzie anegdotą ten wzorzec plastyczny cnót rzymskich wypisanych na tarczy rewolucyjnego mieszczaństwa francuskiego. Powiada się, że tematyka historyczna służyła do określonych celów propagandowych i że lepiej dziś spełnia te cele kino czy radio. Wątpię. Ale gdyby nawet tak było... Port-

Bartolomeo da Venezia (1506–1530) Portret dziewczyny

ret Pani Recamier nie służył do takich celów i piękno jego wyrasta z tych samych tendencyj, co „Horacjusze", ma ten sam styl. Bez anegdoty „Horacjuszy" nie obronię portretu Pani Recamier.

Czy Holendrzy **ilustrują** obyczaje i opowiadają anegdoty, czy też **ujmują** styl życia, charakter obyczajów? Czy takie ujęcie plastyczne można zastąpić powieścią czy filmem? Odróżnianie malarstwa nie według tendencji ideologicznych i kulturalnych, ale tylko według rodzajów (portret, kompozycja figuralna, scena rodzajowa, pejzaż, martwa natura) jest conajmniej bardzo ryzykowne, bo może zrywać najelementarniejsze związki choćby takie, jak między obyczajowością u Holendrów a skłonnością do typizacji i tworzenia charakterów w portretach. Nie można mówić o losach anegdoty **z oddzielna**, jak nie można oddzielać zmarszczek od twarzy na portretach Rembrandta.

Jeśli malarstwo nowoczesne wyzbywało się anegdoty, to w istocie był to proces odrzucania pewnych treści kulturalnych, religijnych, mitologicznych, historycznych, obyczajowych i wcale niełatwo przejść nad tą sprawą do porządku dziennego, jak po półmisku smacznej sałaty. Uśmiechnięta Gioconda nie opowiada anegdot nawet profanom, a tymczasem „szczęśliwy uśmiech malarstwa" nie wędruje luzem, jak oderwany od kociego pyszczka uśmiech, który Alicja spotkała w krainie czarów. Leonardowski czar uśmiechniętej Giocondy odwołuje się do bardzo powszechnych treści kultury ludzkiej i nie działałby na patrzących, gdyby kobiety nie były matkami, żonami, siostrami, przyjaciółkami, gdyby nie zatrącał o **naszą miłość na ziemi**, gdyby ludzie nie mieli wspomnień z dzieciństwa, gdyby nie łączyli ich z westchnieniem do złotego wieku. Nie pisanoby o Giocondzie aż do znudzenia i nie osnułby na Giocondzie Freud swojej rozprawki o Leonardzie. Nie jestem wielbicielem psychoanalizy, ale skądżeby tyle literatury narosło, gdyby miał to być tylko uśmiech malarstwa, a nie uśmiech ludzkości wyzwalającej się w dobie Renesansu ze światopoglądu religijno-feudalnego, aby przeciwstawić mu wartości uczuć ziemskich, rodzinnych — i w perspektywie dalszej narodowych —pod postacią „trwałych cech natury ludzkiej". Budząca się kultura humanistyczna zawarta w malarstwie Renesansu, **nie pod, ani poza ramą obrazu, ale w nim samym**, ze względu na odrębność struktury środków malarskich nie da się zilustrować słowami, ale to wcale nie znaczy, że to piękno jest takie samo jak piękno Rembrandta. Nasi współcześni witaliści zwykli się wymigiwać tym, że obrazy zawierają „ładunek uczuciowy", albo „emocjonalny". Te pojęcia niesprawdzalne, pozahistoryczne służą za pseudonim **ładunku kulturalnego**, który malarstwo zawiera przy wszelkiej tematyce, i który można umiejscowić historycznie, określić. **„Piękno" jest tak samo historyczne, jak treść.**

Jak więc niektórzy współcześni wyrażają swoją epokę? Przyboś przytoczył wypowiedź pewnego malarza, którzy zwierzył mu się, że nie ma odwagi wprowadzić postaci ludzkiej między ramy obrazu.

„Dla mnie przedmioty, powiada malarz, z którymi się człowiek styka, wnętrze, w którym mieszka, mówią na obrazie więcej i czulej o człowieku, niż jego twarz i ręka. Bo we wnętrzu istnieje domyślny niejeden daje większe pojęcie o człowieku niż jego portret. O jakim człowieku, z jakiej epoki? Nie o rzymskim gladiatorze, nie o mnichu średniowiecznym, tylko o człowieku, który mógł się we wnętrzu współczesnym znaleźć. I nic ponadto nie można i nawet nie

D. R. Velasquez Portret infanta Filipa Prospera

trzeba o nim wiedzieć. Doprawdy szalone zainteresowanie dla świata nie daje spać temu przewrażliwionemu artyście! Wystarczy mu syntetyczny człowiek, którego nie wolno pokazać, bo gdyby otrzymał rysy ludzkie przestałby być pustą abstrakcją. Może ten malarz zna dobrze swoje metier, może umie kłaść farbę na płótnie, ale pocóż mistyfikować naiwnych i lubować się swoją „absolutną niemożnością"? Człowiek wyszedł z pokoju, malarz wyszedł z epoki. Zgłosił swoje alibi. **Epoka jest dla niego za trudna.** Wycofał się na pozycję „czystej estetyki" i dla niepoznaki opowiada bajeczki dla grzecznych dzieci. Tacy malarze chcą w 1946 roku wmówić w nas, prowincjonałów z Pipidówki, że temat malarski w naszym stuleciu poprostu wydelikatniał, wysubtelniał, i że w tym się wyraża epoka. Znają doskonale malarstwo Zachodu, ale nie podejrzewają nawet co się w naszym stuleciu stało z tematem w malarstwie. A co się stało, opowiem im później. Stał się dramat, ale oni, kibice i markizowie naszej epoki, dramatycznych załamań bardzo nie lubią. Dla nich istnie-

G. Braque Martwa Natura

tylko człowiek i nie w jednej tylko sytuacji, każdy przedmiot tam jeszcze ciepły od wielu jego dotknięć i dlatego może o nim powiedzieć więcej, niż jego portret". Przeczytajcie sobie dwukrotnie to zdanie. Ślad wielu dotknięć być może wielu ludzi — je tylko barwa, światło i przestrzeń, słowem rzeczy wieczne, pozahistoryczne, co zresztą doskonale się zgadza z neurozą lęku przed postacią człowieka. Oby jak najmniej mówić o przeszłości malarstwa, a jeśli już mówić, to tylko o świetle, barwie i przestrzeni. Tymczasem Kott pisze śmiało o impresjonistach.

...wydaje mi się, że nadszedł już czas, aby dostrzec w impresjonizmie coś więcej ponad technikę eksperymentów optycznych, ponad malowanie światła i powietrza.

Czytując niedawno Zolę i Maupassanta miałem ciągle przed oczami płótna Maneta, Pissara i Degasa i marzyłem o wydaniu powieści klasyków naturalizmu, ilustrowanych obrazami impresjonistów. Prawdziwą bowiem wielkością impresjonizmu nie było odkrycie nowej techniki malarskiej i nowego widzenia światła, lecz ukazanie stylu życia francuskiego mieszczaństwa w ostatnim dwudziestoleciu XIX wieku. Oczywiście, że nie należy naiwnie i po prostacku ze „Śniadania na trawie" Maneta wyprowadzać wniosku, że w owym czasie panowie w żakietach palili cygara w lasku Bulońskim obok nagich kobiet. Tym niemniej jednak temat nie był dla Maneta tylko pretekstem, aby czerń żakietów przeciwstawić ciepłym, różowym tonom ciał w słońcu, wybór tematu mówi nam o tym samym gatunku wrażliwości, o tym samym rozjątrzeniu i uczuleniu doznań, jaki odczytać możemy bez trudu z „Nany" Zoli. Impresjonizm nie jest techniką, lecz historycznym stylem końca wieku".

Myślę, że Kott zapędził się w ferworze słusznej opozycji, zwłaszcza jego wartościowanie złożyłbym na karb swady polemicznej. Można i nawet trzeba w pewnej fazie rozumowania pomijać technikę malarską. Kott zrobił coś więcej, przeciwstawił technice temat malarski. Myślę, że impresjonizm jest i techniką i historycznym stylem końca wieku. Doskonale zresztą rozumiem ferwor Kotta i w konsekwencji gniew Przybosia, który twierdzi, że „styl życia i smak mieszczaństwa" reprezentowali nie impresjoniści, odrzuceni przez mieszczaństwo, lecz ówcześni oficjalni, akademiccy malarze.

Środki malarskie impresjonistów rzeczywiście nie szły w smak odbiorcy mieszczańskiemu i nie były w jego guście. Pogodzić się miał z tą inowacją dopiero później. Zresztą czy Kott mówi cośkolwiek o smaku odbiorcy? Malarstwo oficjalne pochlebiało stylowi i urodzie mieszczańskiego życia, upiększało mieszczanom ich własny obraz, impresjoniści mówili im niezbyt miłą prawdę, ujmując ich życie od strony kulis. Tamci portretowali damy w dobrze ułożonych pozach, ci malowali kokoty w lożach, tancerki, którymi mieszczanin interesował się poza progiem ogniska domowego. Tamci malowali niewinne, bo bez wszelkiej ziemskiej kondycji, ślicznotki z piersiatkami, ci malowali ludzi w knajpach, cyrkowców, karuzele. Impresjoniści byli buntownikami w łonie mieszczaństwa i wiadomo aż nadto, że zakres tego buntu artystów nie sięgał ideowo i tematycznie poniżej lumpenproletariatu.

Rozdźwięk tematyczno - obyczajowy doprowadził do skandalu, o który Przyboś spiera się z Kottem. Kiedy Manet umieścił nagą kobietę na murawie wśród kilku dobrze ubranych panów, poszły czy miały pójść w ruch parasolki. Nie można łudzić się, że szło Manetowi tylko o rozwiązanie zagadnienia czysto malarskiego, że był to wyskok przypadkowy. Chyba nikt nie będzie twierdził poważnie, że równie dobrze mógł to namalować ówczesny komercjonalny malarz en vogue. Ten pomysł tematyczny wyleżał się na wątrobie impresjonistów, czy było to przypadkiem, że patronował im Zola? Na śnieg malowany fioletem mieszczanin reagował wzruszeniem ramion, dopiero inne, niż u akademików, **prawdziwsze spojrzenie na styl mieszczańskiego życia** wywołało „czarny lot parasolek", jakby powiedział delikatnie Stefan Mallarmee.

Skandal z Manetem miał ten sam podkład obyczajowy i moralny, co w swoim czasie sąd nad Baudelaire'em, proces Flauberta i dąsy na Zolę (jeszcze przed sprawą Dreyfusa). Potem się rozdźwięki zatarły, mieszczanin, przynajmniej francuski, przyjął ostatecznie malarstwo impresjonistów i wziął pod patronat nawet różowofiołkową włóczkę śniegu. Obyczaje rozluźniły się tak jawnie, że żadna już obelga nie mogła dotknąć moralności mieszczańskiej. Opozycja duchowa na terenie malarstwa wyraziła się jeszcze w zacięciu satyrycznym (Toulouse — Lautrec, Seurat), potem można było epatować mieszczanina, ubliżając jego kulturze i pojęciom o świecie, ale to już kubizm... Wrócę do jego wątku innymi drzwiami.

Gdyby malarstwo miało być **panoramą strojów**, to może impresjoniści i akademicy uzupełniają się doskonale; na kim bardziej polegać będzie rozstrzygał kostiumolog teatralny. Impresjoniści mało pozostawili kompozycji, to prawda, ale tylko oni wgryźli się w obyczajowość, ujęli obszerniej i prawdziwiej styl mieszczańskiego życia. Spostrzeżenie Kotta jest tak trafne, że wydaje mi się oczywiste. Tylko nie ośmieliłbym się twierdzić, że to stanowi aż o ich wielkości. Jedno jest pewne, że był to już ostatni etap obyczajowości w malarstwie społeczeństwa kapitalistycznego. Rzecz niezmiernie ciekawa, że dwaj współcześni malarze francuscy, którzy wyszli ze szkoły impresjonistycznej, zresztą zaprzyjaźnieni od młodości, Vuillard —

Pablo Picasso Płacząca (1936)

Bonnard reprezentuje jakby dwie odrośle, Vuillard, malarz smakowitych wnętrz mieszczańskich, Bonnard — wirtuoz prześwietlonej barwami przestrzeni. Obaj — pozbawieni kłów młodego impresjonizmu, o których pisze Kott. Wilczek się także starzeje. Ktoś zauważył dowcipnie, że impresjoniści malowali światłem i kolorem, a następcy ich malują światło i kolor. Środki stały się celem, martwe natury, fragmenty wnętrz, akty służą za pretekst do zadań kompozycyjnych, a tendencja ta staje się bezapelacyjna, kiedy tylko schodzimy o pół szczebla poniżej szczytowych osiągnięć tego odłamu malarstwa współczesnego. Nie szachujmy się w dyskusji Bonnardem. Zajmując jakąkolwiek pozycję wobec sztuki, należy oceniać tendencje, a nie osiągnięcia jednostek. Tendencja, która oparła się na doświadczeniach impresjonizmu i rozwinęła je w naszych czasach, oznacza w malarstwie stan wyczerpania kultury ogólnej, wyprowadzenie z gry wszelkich treści kulturalnych. Tymczasem rozgrywka potoczyła się dalej, tym się podstawowo różnią od „tego czystego" malarstwa kubiści, nadrealiści, podobni im poszukiwacze, którzy rozdarli relacje rzeczywiste i zniszczyli związki logiczne w swojej wizji plastycznej. To samo odbyło się w poezji i nikt nie twierdzi, że w poezji maltretowano rzeczy. Jeśli gitara, butelka i trupia główka, przenikają się na tych obrazach, schematyzują się, lub zrastają w niewydarzone bryły, jeśli przestrzeń redukuje się do płaszczyzny, to wszystko to dzieje się dlatego, że przedmioty te straciły swoje miejsce na ziemi, swoje funkcje życio-

we, oderwały się równocześnie od tradycyj kulturalnych, przestały być gitarą z wycieczek podmiejskich, z Fragonarda i z Komedii del Arte, butelką wina, butelką atramentu, czaszką z gabinetu astronomicznego czaszką Yoricka, trupią główką alegorycznej śmierci. Odezwały się — i wracają, kłócą się z rzeczywistością i tradycją. Grecka kolumna i fortepian skomponowane z wybrzeżem morskim na obrazie Chirico — nie są to preteksty dla barwy i światła, nie jest to treść przesunięta wstydliwie „na drugi plan" widzenia i odczuwania, przeciwnie, te zespoły odwołują się do naszych pojęć o świecie, niszczą historię, geografię, logikę, proponują zrewoltowaną wizję plastyczną. Cielisty kształt na niebieskim tle na obrazie Picassa proponuje nam również jakiś wzór wyobrażeniowy, nie z tego świata i z żadnego innego. Etap rozpoczęty przez kubizm podporządkował wizję kompleksom filozoficznym i lirycznym, malarstwo zaczęło je sygnalizować w podobny sposób jak poezja. Kompozycje „abstrakcyjne" Braque'a na kilka lat przed drugą wojną wykazywały silnie wzmożony niepokój, tak samo, jak w tym czasie liryka Supervielle'a, poeta jednak zawsze operuje pojęciami, niepokój i lęk krystalizuje się w myśli o śmierci. Skoro jedni mówią o jabłku „impresjonistycznym" a inni o „realistycznym", niech i mnie wolno będzie powiedzieć kilka słów o **melonie katastroficznym.** Patrząc na takie obrazy, widać już z całą oczywistością, jak czynniki historyczno - kulturalne rządzą i barwą i kształtem.

Czy to również przypadek, że w ubiegłym roku na wystawie Picassa w Paryżu zanosiło się na skandal i że w Londynie skandal wybuchł? Picasso ponoć doszedł do takiej dysocjacji składników organicznych w swoich wizjach, że nazwano to „malarstwem bomby atomowej". Spotworniałe kształty, dla których nie ma nazwy, zjawiały się już w „Guernice". Zgodzę się postokroć z tym, że Picasso wyraża „swoją epokę". Od demonstracyjnego zniszczenia Guerniki przez bombowce niemieckie do odczłowieczenia ludzkości w Oświęcimiu, od doświadczalnego zniszczenia Hiroszimy przez bombę atomową do „żelaznej kurtyny" Churchilla. Malarstwo Picassa mówi ludziom po tamtej stronie „żelaznej kurtyny": oto nasza epoka.

Przyznaję, że pisząc dwa lata temu, jeszcze w trakcie wojny, w Lublinie („Odrodzenie" Nr. 8 — 9) o perspektywach rozwojowych malarstwa, nie przewidywałem sytuacji polityczno - kulturalnej, jaka wytworzy się w Europie, byłem przekonany, że stoimy wobec bliskiego przełomu na Zachodzie. Wierzę nadal w ten przełom i nie widzę merytorycznego powodu do oburzania się na Kotta, który śmie już dzisiaj, tutaj, postulować coś, czego na Zachodzie jeszcze nie ma. Prawo do postulowania przełomu na podstawie analizy właśnie czynników „pozamalarskich" w malarstwie daje nam fakt, że Polska stała się w Europie przodującym przykładem nowego niekapitalistycznego ustroju. Zgadzam się z Przybosiem, że realizm może być rozmaity i nawet nie wiem, co to ma być za realizm, proponowany przez Kotta w malarstwie. Postulat nie może zawierać potępienia dla środków technicznych. Próba analogii ze strony Kotta między środkami symbolizmu w poezji a techniką impresjonistów wydaje mi się ryzykowna ze względu na różnicę struktury malarstwa i poezji. Związek malarstwa z wiedzą optyczną istnieje, natomiast nie można stwierdzić związku bezpośredniego między żadną wiedzą a tropami poetyckimi. Zgadzam się z Kottem, że dopiero przyszły krytyk na podstawie nowych obrazów będzie mógł przetłumaczyć zwrot do realizmu na język techniki malarskiej. Jeśli Przyboś obawia się automatycznego cofnięcia malarstwa do środków z okresu przedimpresjonistycznego, to może obawy te rodzić nasze specyficzne opóźnienie. Pomimo zapatrzenia we Francję nasze malarstwo nie przechodziło równoległych doświadczeń. Ruch poszukiwaczy po pierwszej wojnie (Szczuka, Czyżewski, Rafałowski, Stażewski, Strzemiński, Pronaszko) trafił na grunt nieprzygotowany nawet w sferach artystycznych i po pierwszych próbach stracił impet, twórczość malarska, która obecnie zajęła jakoby swoje miejsce historyczne, wywodzi się przeważnie z „kapistów" i innych „postimpresjonistów", którzy musieli dopiero rozegrać batalię z malarstwem Zachęty", z wpływami Pruszkowskiego i jego uczniów, żyjących tradycjami szkoły monachijskiej. Nie mieliśmy impresjonizmu we właściwym czasie. Wybitni impresjoniści polscy, jak Pankiewicz czy Boznańska pracowali poza krajem. Wysunięcie w tradycji Gierymskiego i Podkowińskiego, odkrycie powtórne Michałowskiego to wszystko jeszcze dyszy świeżo rozegraną bitwą.

Wobec znanej aż nadto ignorancji spraw malarskich u wielu czynników kierowniczych, mogły zrodzić się słuszne obawy, że na wołanie o powrót do rzeczywistości powrócić gotowa stara tandeta „Zachęty" i nieokreślony bliżej postulat realizmu rozpłynie się w monachijskich sosach. I myślę, że wiele z tych motywów zaważyło na wystąpieniu Przybosia, na jego apologii Eibisza i Pronaszki, na ostrzeżeniach pod adresem młodzieży malarskiej. Nie ma obawy, Jan Kapista Cybis czy Eibisz, Rzepiński czy Anna Rudzka, Pronaszko czy Radnicki w walce z tamtym malarstwem zawsze będą mieli sprzymierzeńców nawet wśród literatów wołających o powrót do rzeczywistości. Ale licha będzie ta młodzież, która nie zajmie innej postawy niż jej mistrzowie.

Adam Ważyk

RYSZARD MATUSZEWSKI

O Włodzimierzu Pietrzaku

W drugą rocznicę śmierci

Nie wiem, czy żył jeszcze, kiedy po raz ostatni mówiłem o nim, jako o kimś z pewnością żywym. Młody przywódca z obozu politycznych przyjaciół Włodka, spotkany przeze mnie niespodzianie w odciętym od płonącej Warszawy podotwockim Józefowie oświadczył, mi, że się wkrótce z nim zobaczy. Nie wiedziałem i nie pytałem jak. Nad Warszawą wisiała rdzawa kurtyna dymu. Ale jeśli jeszcze wtedy, w tej krótkiej rozmowie z prawie nieznajomym mi człowiekiem postać Włodka, wysoka, z uśmiechem beztroskiej wesołości pod maską śmiertelnej powagi stanęła w moich oczach tak bliska, poufała i niemal że dotykalna, — to myślę, że był to, ostatni obraz równie czysty, niezmącony przewidywaniem rzeczy najcięższych i nie dających się odwrócić. Ten obraz— w moich myślach — to ostatnie spotkanie z Włodkiem żywym.

Nasze ostatnie spotkania prawdziwe uszły mojej pamięci, a właściwie zlały się w niej w jedno. Jak zazwyczaj spotkania ludzi bliskich, lecz zamieszkałych w odległych dzielnicach w okresie okupacji — nie były one zbyt częste. Tym bardziej były ważne. Pozwalały odnotować sam fakt czyjegoś życia. W tym wypadku życia bardziej zagrożonego od innych ze względu na rodzaj egzystencji, którą Włodek świadomie wybrał. A także ze względu na jego usposobienie dalekie od możliwości przyjęcia i zastosowania osobiście, wobec siebie, zasad ostrożności i dbania o własną osobę! Czyż nie taki był Włodek, którego znaliśmy od tak dawna?

Sala jest ciemna, sklepiona, siedemnastowieczna. Pisał o niej Otwinowski w „Kuźnicy", we wspomnieniu p. t. „Inna cyganeria". Przewodniczący zebrania młodych ludzi, z których żaden nie ma więcej niż lat dwadzieścia pięć, zajadle potrząsa archaicznym dzwonkiem, którego mosiężna rękojeść wyobraża postać malutkiego Napoleona ze skrzyżowanymi na piersiach rękami. Siedzimy zagłębieni w ciężkich, skórzanych fotelach wokół dębowego stołu pomalowanego na czarno. Jest to gościnnie użyczona nam sala posiedzeń Tow. Opieki nad Zabytkami Przeszłości w warszawskiej kamienicy Baryczków. Wtem podnosi się Włodek, z twarzą zaciętą w jakimś grymasie, mającym wyobrażać stanowczość. Wygląda o dziesięć lat starszy od nas, w wieńcu nikłych szczątków płowego uwłosienia wokół okazałej czaszki, nad obliczem jakiegoś słowiańskiego Sokratesa. Ostro i apodyktycznie prosi o głos. I on, jak Napoleon z dzwonka, tylko większy, krzyżuje ręce na piersiach. Spod czarnych, rogowych okularów toczy wzrokiem pełnym pogardy dla wszystkiego co nędzne, poziome i płaskie. Mówi głosem płynnym, donośnym i głębokim. O czym mówi?

Kiedy usiłuję to sobie wyobrazić dzisiaj, przychodzą mi na myśl różne tytuły esejów Włodka, jego tom wierszy „Prawo drapieżne", nazwiska różnych autorów, o których pisał: Nałkowska, Przyboś, Iwaszkiewicz, Kaden... Zdania toczą się okrągło czasem aż za okrągło. Nagle jakaś nieznaczna zmiana. Słowa stają się coraz bardziej ostre i kanciaste. Kąty warg mówcy zacinają się. Mars rzeźbi wysokie czoło. Któraś z moich sąsiadek (tych prawniczek, o których pisał Otwinowski) pyta mnie szeptem:

— Czemu on mówi z takim patosem?

Namyślam się. Już wiem. Odpowiadam jej tak samo szeptem:

— Bo on mówi *o Czynie.*

Myślę, że żaden z nas tak bardzo nie był dzieckiem *tamtej* epoki. On jeden jedyny z nas czytał Brzozowskiego, tak jak się czyta książki autorów swego pokolenia. Ale choć książek chłonął chyba z nas wszystkich najwięcej, podobnie w lekturze ich zapamiętały i lekturami nasiąkający, jak ten, czyje nazwisko tu powołałem, z głową w wiecznym płomieniu idei i mitów, to jednak (a może właśnie dlatego?) literatura, na której ołtarzu spalał swoją młodość — nie wystarczała mu. W latach bezpośrednio poprzedzających wojnę, Włodek, znany już autor tomu wierszy, paru dziesiątków artykułów krytycznych i właściciel pełnej szuflady rękopisów powieściowych, oświadczył nam, że zrywa z pracą pisarza: przerzuca się do działalności politycznej.

Wkrótce jednak na terenie urzędu, w którym ceniono pracę Włodka, jako referenta, ale ze wzruszeniem ramion głowiono się nad sensem jego artykułów, posłyszałem zdanie:

— To nie jest facet z życia. On jest za literacki.

Nie wiem, co mówili o nim jego towarzysze polityczni, których nie znałem. Jeżeli jednak byli podobni do bohaterów Brezy, musieli chyba mówić to samo. Przewertowałem „Mury Jerycha". Na próżno między Paparą, Czatkowskim i Dylągiem — chciałem zobaczyć cień Włodka. Ani Jelski, ani Motycz — to też nie był on, choć nie ulega wątpliwości, że jest to właśnie tamta, ponura historia ostatnich lat przedwojennych, i znalazłem w niej mnóstwo znajomych. Włodka nie znalazłem. Odetchnąłem z ulgą.

Włodka zdradzającego literaturę i nas, dla ludzi, których przedwojnnej działalności tak wiele mamy dzisiaj do zarzucenia — nie ma w historii „Murów Jerycha". Nie brał on w niej udziału ani jako wyrachowany gracz, ani jako młody, barbarzyński wyznawca, niewinny i okrutny, ani jako poeta, którego „skaperowano" łowiąc na wędkę próżności i kariery. Jeśli myślę niekiedy o osobistej czystości Włodka, tej bez której obraz jego w naszych oczach nie jest pełny i która później doprowadziła go aż do granicy życia i bohaterskiej śmierci, — źródeł jej szukam w tym, od czego wyszedł: w literaturze. W literaturze, której zresztą w praktyce nie zdradzał nigdy. O twórczości niektórych pisarzy mówi się, że jest ona kompensacją niespełnionych czynów. O działalności Włodka możnaby powiedzieć, że jest kompensacją nie napisanej literatury. Rzadko kto życie swoje układa tak, jakby pisał książkę. Myślę, że z Włodkiem tak właśnie było. Ostatni rozdział napisał krwią.

Jeden z essejów Włodka, przerabianych kilkakrotnie, a więc tych, do których powracał, nosił tytuł „Obrona pozy". Pozy? Tylko ci, co znali Włodka z bliska, naprawdę wiedzą jak bardzo to słowo bez ciężaru, było nietrafne w stosunku do wewnętrznie umotywowanego stylu oschłej wyniosłości, jaki przybierał, gdy czuł się zmuszony podkreślić swą inność, inność udrapowanej magii słów i nastrojów ponad wulgarną szarzyzną codziennych zdań, zdarzeń i myśli. Powinien był nosić pelerynę. I szpadę przy boku Ach, nie tylko! To on, przecież, nikt inny, był w naszym czasie najnieskazitelniejszym bohaterem opowieści o rycerzu z Manczy! Jego czyny, tak jak je widział, były tak samo nieco tylko spóźnione w stosunku do jego epoki, nie znoszącej opóźnienia, karzącej surowo tych, co nie umieją na nią patrzeć po prostu. Dlatego śmierć Włodka w powstaniu warszawskim....

Nie, nie zgodzę się na to! Choćbym nie wiem ile razy wiedział, że śmierci tej sam wyszedł naprzeciw, choćbym ją uznał za dopełnienie jego życia takiego, jakim było, nie uznam jej za naturalną. Dziś, po dwu latach, widzę, że równie dobrze mógłby żyć i działać między nami. Widzę go, jak kroczy dziś ku nam, namiętny w słowach, głoszący ideę czasu, który go wydał, ale między przyjaciółmi pełen spokojnej wyrozumiałości. Bliższy, prawdziwszy, bardziej ludzki — „bohater pozy", niż inni — bohaterowie rzekomej naturalności.

Włodzimierz Pietrzak, poeta, powieściopisarz i krytyk literacki zginął dwa lata temu w warszawskim powstaniu. W drugim roku okupacji rzucił pracę w urzędzie dającym mu jakie takie gwarancje bezpieczeństwa i zerwał z życiem legalnym. Teoretycznie mieszkał na jednym z podwarszawskich letnisk. W praktyce, zwłaszcza w roku ostatnim, codzień gdzie indziej. Przez cały czas brania udziału w pracy podziemnej nie przerywał działalności krytyczno-literackiej, zostawił w rękopisie pięć tomów powieści, zbiór essejów. Pisał gorączkowo, z pośpiechem, z niesłychaną wydajnością, jaka cechowała zresztą zawsze jego pracę.

Zbiór kilkunastu essejów, z których dwa drukowane były ostatnio w „Dziś i Jutro" powstał w czasie krótkiej, kilkutygodniowej przerwy w pracy organizacyjnej, w ciągu paru zaledwie tygodni. Przez cały czas był czynny organizacyjnie. Pomagał ludziom zagrożonym. Był zawsze na usługi innych. Dla siebie nie potrzebował nigdy niczego. Należał do ludzi najbardziej bezinteresownych, jakich znałem. Szukał kontaktu z przedstawicielami innych organizacyj, dążył do porozumienia z nimi, do znalezienia z nimi wspólnego języka. Tragiczne przesilenie w polityce delegatury rządu londyńskiego rozumiał i przeżywał boleśnie, osobiście. W czasie powstania zgłosił się dobrowolnie do akcji bojowej. Został przydzielony na własną prośbę na jeden z najniebezpieczniejszych odcinków. Zginął jako oficer łącznikowy między Starówką a śródmieściem. Wyzwał śmierć patetycznym gestem, tym samym, z jakim szedł przez życie i wyzwalał z niego to, co w nim było tego gestu godne.

Sierpień, 1946.

RYSZARD MATUSZEWSKI

Cenne wznowienie przekładów Boy'a

BALZAC

Dwaj poeci zł. 100, -

Stracone złudzenia zł. 220, -

„KSIĄŻKA"

SPRAWY CZESKIE

Czasopiśmienictwo czeskie przeżywa obecnie okres niebywałego rozkwitu. Niezależnie od wznawianych wydawnictw przedwojennych powstają liczne nowe periodyki, poświęcone raczej zagadnieniom kultury i sztuki, niż zagadnieniom społecznym. Wszystkie zachwycają starannością wykonania, piękną szatą graficzną i nowoczesnym drukiem, wreszcie specjalnie dobieranym dla każdego wydawnictwa rodzajem papieru. Przyczyną tego jest nietylko wysoki poziom sztuk plastycznych w Czechach, ale w pierwszym rzędzie specjalni redaktorzy graficzni, którzy nadają pismom artystyczny wygląd zewnętrzny. Ciekawe, że większość tych pism to miesięczniki, które u nas nie znajdują naogół uznania, a w Czechach cieszą się wielką popularnością, przy czym wychodzą w formie książki nieszytej.

Do czasopism najbogatszych szatą zewnętrzną należy wydawany przez Związek Plastyków „Umeni Dneska", poświęcony wyłącznie sztuce plastycznej. Plastycy czescy za najważniejszą sprawę uważają w chwili obecnej upowszechnienie i umasowienie sztuki. Organizują oni wystawy po fabrykach, przy czym artyści bezpośrednio stykają się z robotnikami, tłumacząc im znaczenie sztuki i omawiając poszczególne kierunki i prądy. Ostatnio zaprowadzono nadzwyczaj pożyteczną inowację: robotnicy mogą wybierać dzieła sztuki, które im się podobają, i zabierać je bezpłatnie do domów. Ma to kolosalne znaczenie nie tylko jeśli idzie o podniesienie kultury robotnika przez wprowadzenie rzeczywistych dzieł sztuki do jego domu w miejsce kiczów, które ozdabiają mieszkania przeciętnych ludzi, ale i ze względu na materiał badawczy, jakim mogą operować socjologowie kultury i sztuki. Poza tym podnosi się świadomość robotnika, który rzeczywiście odczuwa dbałość czynników państwowych i inteligencji o jego los i wychowanie.

W związku z intensywną odbudową kraju niebywały rozwój przechodzi architektura. Wszelkie prace architektoniczne przejmuje świetnie zorganizowany Związek Architektów, ogłaszając konkursy. Z ostatnio ogłoszonych wymienić należy konkurs na wielki stadion sportowy w Bańskiej Bystrzycy, gmach dyrekcji poczt w Bratysławie i budynek Narodowego Zgromadzenia w Pradze, nie licząc szeregu pomników. Wszystkie jednak te prace ustępują sprawie obecnie w Czechach najważniejszej: odbudowy Lidic. Ostatni numer organu Związku Architektów p. t. **„Architektura"** jest całkowicie poświęcony temu zagadnieniu. Hasło „Lidice budou žit!" jest dziś sprawą honoru Czechów. Oczywiście hasło to będzie znacznie szybciej zrealizowane od naszego „Odbudujemy Warszawę!", bo nie wolno zapominać, że Lidice są dosłownie **jedyną** czeską wsią zniszczoną przez Niemców (jako represja za zabójstwo Heidricha). Niemniej jednak Czesi są bardzo sprawą Lidic przejęci, chcąc stworzyć w tym miejscu wzorową wieś, która by była jednocześnie miejscem narodowej chwały.

Do najpoważniejszych pism artystycznych należy wznowiony w tym roku miesięcznik muzyczny **„Tempo"**, który ma już za sobą 27 lat istnienia. Niezależnie od teoretycznych rozpraw przynosi on bardzo ciekawy materiał i dla laików. Na treść numeru składają się więc wypowiedzi znanych muzykologów i kompozytorów współczesnych, omówienia najważniejszych koncertów (nie tylko w Czechosłowacji!) i wreszcie korespondencja zagraniczna, oczywiście z dziedziny muzyki.

Ciekawym pismem jest „miesięcznik dla społecznego i kulturalnego kontaktu ze wschodem" p. t. **„Novy Orient"**, wydawany przez czeskich orientalistów. Estetyczna szata graficzna, bogaty materiał ilustracyjny i informacyjny uczyniły z tego pisma — mimo specyficzności zainteresowań — jedno z najpoczytniejszych w Czechach. Obok ściśle fachowych i historycznych wiadomości, „Novy Orient" zajmuje się zagadnieniami społecznymi i gospodarczymi państw wschodnich i podaje szereg tłumaczeń z literatur wschodnich. Nie wolno zapominać, że Czechy posiadają pierwszorzędnych znawców zagadnienia, jak znakomity egiptolog, prof. Lexa, sinolog Vlodimir Holan, tłumacz narzeczy hinduskich V. Lesny i znawca jęz. japońskiego Vlasta Hilska.

Dosłownie jak grzyby po deszczu powstają nowe pisma literackie, redagowane przez grupy pisarzy regionalnych. Tak np. literaci śląscy wydają awangardowe **„Cislo."** Propagują oni kierunek regionalistyczny i dążą do decentralizacji życia kulturalnego. Podobne cele przyświecają grupie pisarzy morawskich, którzy redagują miesięcznik p. t. **„List"**. W życiu kulturalnym Czech przejawia się dążność do poznania kultury innych narodów słowiańskich. Stąd bardzo duża ilość przekładów poezji i prozy na czeski, a „Cislo" poświęciło cały numer kulturze rosyjskiej. Jeżeli chodzi o tłumaczenia z polskiego, to w „Liście" spotykamy: Przybosia „Czerwiec roku 1943", Jerzego Laua „Cieniem za ścianą stoję" i Gałuszki „Złoty hymn". Wszystkie w przekładzie V. Zavady.

Ciekawym pismem jest literacki **„Prostor"** („Przestrzeń"), wydawany w Pardubicach przez tamtejszą grupę Związku Czeskiej Młodzieży. Mimo, że grupuje wokół siebie prawie wyłącznie debiutantów pismo stoi na dobrym poziomie, spotykając się z przychylną krytyką. I ta młodzieżowa grupa jako naczelne zadanie postawiła sobie doprowadzić do decentralizacji życia kulturalnego w Czechach przez zorganizowanie wielkiej ilości ośrodków kulturalnych na prowincji. Okazuje się jednak, że nie jest to łatwe do przeprowadzenia nawet w Czechach, gdzie społeczeństwo jest do tego lepiej przygotowane.

Do najważniejszych problemów w Czechosłowacji należy także sprawa współpracy kulturalnej między Czechami a Słowakami. „List" połowę omawianego numeru poświęca literaturze słowackiej, a **„Nase Doba"** zastanawia się nad możliwościami jak najszybszego wyrównania poziomów między Słowacją a Czechami. Wziąwszy pod uwagę długoletni okres wpływów zacofanego kleru i grup faszystowskich w Słowacji, szybkie zniwelowanie tej różnicy nie będzie rzeczą łatwą, niemniej jednak Czesi wydają obecnie dużo książek w języku słowackim, tłumacząc na ten język najpiękniejsze dzieła literatury światowej, organizują słowackie wytwórnie filmowe i t. p. Wciąż jednak na półkach księgarskich w Bratysławie leżą książki czeskie, ale nie widać książek słowackich w praskich księgarniach. Różnice poziomu można zaobserwować i w czasopismach. Jeden z najpoważniejszych słowackich tygodników **„Nove Slovo"** nie tylko pod względem formy, ale i pod względem treści ustępuje znacznie przeciętnym czeskim tygodnikom, które — w odróżnieniu od wytwornych miesięczników — nie są najlepsze. Zresztą i Czesi odczuwają poważny brak sił dziennikarskich i publicystycznych o czym wspomina pismo poświęcone sprawom politycznym **„Nova Svoboda"**. O kształceniu dziennikarzy i praktycznej wiedzy dziennikarskiej pisze poważny miesięcznik **„Veda a Život"**, odpowiednik naszych „Problemów", choć mniej popularyzujący zagadnienia. Naogół jednak pism społecznych czy politycznych jest niewiele, podczas gdy omawiając literackie nie można pominąć tak poważnych, jak **„Kytice"**, **„Doba"**, której majowy numer poświęcony był w całości literaturze hiszpańskiej, czy socjalistyczny, pięknie wydany **„Život"**. Wszechstronniejsza pod względem omawianych zagadnień jest jedynie komunistyczna **„Tvorba"**, która bardzo często zamieszcza artykuły dotyczące spraw Polski. W numerze 26 Vladimir Keppert rzeczowo omawia sytuację wewnętrzną Polski w związku z głosowaniem ludowym. Ironicznie przedstawia „ideologie" malkontentów i reakcjonistów, którzy wierzą, że „nie Hitler, nie wojna, nie straszne spustoszenie polskich ziem i nie miliony ofiar hitlerowskiej okupacji, tylko socjaliści: Bierut, Osóbka, Gomółka są winni, że w Polsce jest źle". W tym samym numerze dr Arthur Bardach przedstawia dotychczasowe zdobycze i plany na przyszłość polskiego przemysłu.

Na wzmiankę zasługują wydawnictwa czeskiego Ministerstwa Informacji, które jest bardzo czynne. Najpopularniejszym jest **Svet v Obrazech"**, przypominający przedwojenny „Światowid". Jest to bogato ilustrowany tygodnik, który przynosi informacje z całego świata. Wyłącznie Czechosłowacji poświęcony jest miesięcznik **„Ceskoslovensko"**. Ostatni, lipcowy numer, zajmuje się w pierwszym rzędzie sprawami młodzieżowymi. Omawia więc problem szkolnictwa słowackiego, które było dotąd bardzo zaniedbane i pod zupełnym wpływem kleru i zagadnienia przedszkoli dla dzieci robotniczych. Przedszkola te, t. zw. „szkoły macierzyńskie" obejmują dzieci od lat 6 — 7, mając za zadanie zastąpić im dom i matkę. W samej Pradze jest obecnie 80 takich szkół i kilka kursów dla opiekunek, które mają trudne zadanie wychowania dziecka w zbiorowości na zdrowych podstawach społecznych i etycznych. Numer ten przynosi także ciekawe plany praskiego metra, do którego budowy, wobec dużego terenu jaki zajmuje Praga, Czesi przystąpić mają już w początkach przyszłego roku i szereg danych obrazujących rozwój przemysłu zabawkarskiego i kukiełkowego, który, w zrozumieniu poważnej roli wychowawczej kukiełki, jest b. rozwinięty. W Pradze istnieje szereg teatrów kukiełkowych dla dzieci. Wogóle jeśli mowa o zagadnieniu wychowania dzieci, to trzeba stwierdzić, że poświęca się temu w Czechosłowacji o wiele więcej czasu i uwagi, niż u nas.

W związku z silnym książkowym ruchem wydawniczym Związek Księgarzy wydaje co miesiąc przegląd wydanych książek p. n. **„Knižni wyber"**, a krytycy literaccy redagują **„Kriticky Mesicnik"**, który, — jak zresztą nazwa wskazuje — poświęcony jest krytykom i recenzjom najwybitniejszych wydawnictw książkowych poprzedniego miesiąca.

Do najpoważniejszych periodyków czeskich należy miesięcznik **„Akord"** i kwartalnik **„Listy"**, poświęcony zagadnieniom wiedzy i filozofii. Wreszcie dla uzupełnienia tego pobieżnego przeglądu należy wymienić miesięcznik poświęcony kulturze ludowej p. t. „Cesky lid" i popularny tygodnik kulturalny przeznaczony dla robotników p. t. **„Lidova Kultura"**, wydawany przez Związki Zawodowe.

Mariusz Margal

*) Materiały omówione w tym przeglądzie otrzymała redakcja od ob. Ministra Wierbłowskiego, który tak uprzejmie zareagował na nasz apel pod adresem MSZ, drukowany w notach „Kuźnicy". Na tym miejscu składamy Mu serdeczne podziękowanie.

rdc.

W KRAKOWIE

(list trzeci)

Kraków dumny jest specjalnie ze swoich kościołów i ze swych szkół uniwersyteckich. Miasto jest raczej małe, ciasne. Z kościołów pada cień na liczne budynki szkolne. Mieszkańcy miasta noszą dumnie podniesione głowy, jeśli w rodzie posiadają prałata lub profesora uniwersytetu.

Rozmowy polityczne w towarzystwie krakowskim szukają argumentów z dziedziny kultury. Nic dziwnego mury warunkują. Żona znakomitego adwokata, gdym żywotność nowego porządku podeprzeć chciał niezwykłą aktywnością ludzi pióra, palety i estrady, powiedziała mi, że nie artyści, lecz uczeni tworzą kulturę...

Tak. Żeby coś znaczyć w Krakowie nie wystarczy pisać, malować, komponować, trzeba mieć jeszcze tytuł — przynajmniej doktora. Przejął się tą opinią nawet redaktor „Odrodzenia" — w siedmioosobowym składzie jury literackiej jest czterech profesorów, jeden uczony, który tylko przez szlachetne osobiste dziwactwo nie jest docentem. Literaturę żywą, twórczą reprezentuje Dąbrowska. „Dziennik Polski" ogłaszając listę jurorów tylko obok nazwiska Marii Dąbrowskiej umieścił dłuższy komentarz. Wydaje mi się, że raczej przy tym jednym nazwisku można by zaniechać komentarza.

Zanosiłem do introligatora cztery swoje wydane książki — w pewnej chwili sympatyczny rzemieślnik zorientował się, że trzy powieści i jeden dramat są moją najwłaściwszą własnością. Przy następnym widzeniu tytułował mnie już profesorem.

Redaktorowi Kurylukowi radzę, żeby skład jury zmienił: jeszcze dwóch profesorów, a wtedy wewnętrzna nagroda Czytelnika miałaby powagę absolutną.

*

Trzeba powiedzieć, że polska literatura, prasa, a nawet i powoli nauka pracują dużo, żeby w nurt wzburzonych przez wojnę i nieoświeconych tłumów wlać znowu ludzką łaskawość, przywrócić człowiekowi godność. Nie pomaga nam w tym „Przekrój", publikując fotografię egzekucji katów z Stutthofu. Pomsta musi być ograniczana także absolutną miarą sprawiedliwości. Sprawiedliwość musi zrobić swoje, ale sprawiedliwość nie potrzebuje takiej propagandy. Podniecanie nienawiści bez jednoczesnego programu wychowawczego zagraża moralności i bezpieczeństwu wewnętrznemu.

*

Bardzo zabawne są natomiast rysunki Kamyczka w „Przekroju" i bardzo pożyteczną akcja J. Kotta, mająca na celu wychowanie intelektualne reszty członków redakcji.

*

Trzeba powiedzieć, że wiele instytucji w Polsce zdegradowało się w zastraszający sposób. Instytucje wraz z przynależną sobie społecznością. Tylko nieliczni członkowie tej społeczności starają się zaradzić złu wewnętrznemu, godzącemu w podstawy i sens organizacji. Organizm kościoła katolickiego w Polsce choruje. Choruje porażony zarazą rasizmu. Przerażenie ogarnia na myśl, że właśnie miazmaty obłędnej filozofii osiadły właśnie tam, że najświętsze przybytki kontemplacji ożyły aktywnością zbrodniczą, aktywnością nienawiści.

Urodziłem się w bardzo religijnej rodzinie. Matka moja wychowana pod okiem wuja-kanonika, żywiąc zawsze wielką cześć dla wychowawcy, nauczyła dzieci szacunku do wszystkiego, co związane nawet z murami kościoła. Każdy dzień zaczynaliśmy od Mszy św., w niedzielę zaś trzeba było odwiedzać kościół dwa razy. Śmiało mogę powiedzieć, że w kościele nauczyłem się nietylko kontemplować, a i myśleć. Myśleć i obserwować. Bardzo kocham swoje wspomnienia z tych lat i ludzi, których zawarł krąg mego dzieciństwa...

Być może jest to pierwsza oznaka starzenia się skoro powiem, że takich katolików już teraz nie ma. Arbuz, felczer z naszego miasteczka, Żyd, który nigdy nie myślał o nawróceniu, także bardzo szanował kościół katolicki. W święta narodowe siedział w ławce kollatorskiej obok ojca mego, aptekarza, pierwszego obywatela na całą okolicę. Nikogo to nie gorszyło. Przeciwnie postępowe dziwactwa mego ojca były dumą katolickiej społeczności.

Dwa tygodnie temu w dzień święta narodowego poszedłem w Zakopanem do kościoła. Myślało mi się bardzo dobrze — muzyka organów bardzo pomaga rytmowi sumienia. W pewnej chwili wszedł ktoś nowy do naszej bocznej nawy. Kobieta, rysy twarzy wskazywały na to, że naprawdę mogła to być Żydówka. Uklękła, jak wszyscy. Ale przez tłum przeszedł wrogi szept: „Żydówka".

Wyszedłem z kościoła, który przestał być i dla mnie przychylny, który sfałszował mi obraz dzieciństwa, popsuł skupienie. Gdzież więc człowiek ma się utwierdzać w wierze, że miłość bliźniego jest najważniejszym przykazaniem boskim?

STEFAN OTWINOWSKI

PAŃSTWO I PRAWO

Wśród wydawnictw naukowo-fachowych, ukazujących się w Polsce na uwagę zasługuje miesięcznik „Państwo i Prawo", organ Zrzeszenia Prawników Demokratów w Polsce, którego ukazały się dotąd cztery numery. Pismo, do którego komitetu redakcyjnego wchodzi szereg wybitnych prawników polskich i to zarówno przedstawicieli nauki prawa jak i praktyki prawniczej, żeby wymienić tylko Prez. Izby Karnej S. N. K. Bzowskiego i Prezesa Sądu Najw. i Czł. Prez. KRN W. Barcikowskiego, Prof. U. Jag. Dr Konstantego Grzybowskiego, autora powszechnie używanych wydawnictw kodeksowych b. prof. Wolnej Wszechnicy J.J. Litauera, dr. Juliana Makowskiego, prof. Szkoły Głównej Handlowej, prof. Uniwersytetu Oksfordzkiego dr. Romana Piotrowskiego, sędziego S. N. dr. E. Rappaporta, prof. Uniw. Poznańsk. dr. Czesława Znamierowskiego, porusza w treści swej szereg bieżących zagadnień z dziedziny życia państwowego, prawa, polityki i gospodarki. Wydany ostatnio 4-ty, czerwcowy zeszyt wydawnictwa zawiera między innymi aktualne rozważania prokuratorów Sądu Najwyższego, Jerzego Sawickiego i Mieczysława Siewierskiego na temat przystosowania zasad prawnych do walki z pozostałościami hitleryzmu i do zadań związanych z koniecznością ukarania nazistowskich zbrodniarzy wojennych, praca prof. dr. Juliana Makowskiego na temat obrony, pokoju i bezpieczeństwa przez OZN., zagadnienia konstrukcji pojęcia własności w opracowywanych przez komisję kodyfikacyjną ostatnio przed wojną projekcie prawa rzeczowego — w ujęciu prof. dr S. Grzybowskiego, prace A Czachórskiego na temat problemu odpowiedzialności państw i związków publiczno - prawnych za szkody wyrządzone bezprawnie przez funkcjonariuszów publicznych, zagadnienia prawa handlowego morskiego oraz prawa lotniczego w ujęciu Rektora Akademii Handlowej w Poznaniu dr. Józefa Górskiego i prof. Uniw. Warsz. dr. Cezarego Berezowskiego. Zagadnienie historyczne ustroju prowadzonego w Polsce przez Konstytucję 3 maja rozpracowuje docent Uniw. Jag. dr. Bogusław Leśnodorski. Adw. Antoni Landau daje sylwetkę Leona Berensona w rocznicę jego śmierci a adw. Antoni Chabielski piszę o stronie prawnej zagadnienia odbudowy Warszawy. W dziale sprawozdań znajdujemy recenzję dr. Stan. Ehrliha z książki min. E. Kwiatkowskiego dotyczącej zagadnień morskich i dr. R. Bieżanka z książki Harolda Lasky'ego „Rozważania nad rewolucją naszych czasów". Zamykają numer wybrane orzeczenia Izby Karnej S. N. recenzje z życia gospodarczego i wiadomości kronikarskie.

TREŚĆ POPRZEDNIEGO NUMERU

Stefan Żółkiewski: Powstanie trwa.
Jarosław Iwaszkiewicz: Z notatek.
Kandyd: Od własnego skromniejsi męstwa.
Mieczysław Jastrun: Nowe wiersze.
Kazimierz Brandys: Sprawy warszawskie.
Tadeusz Borowski: Śmierć powstańca.
Emanuel Mounier: Powstanie warszawskie.
Janusz Rychlewski: Na Grójeckiej.
Andrzej Stawar: Sienkiewicz.
Ryszard Matuszewski: Pod znakiem szabli rysunku.
Władysław Rymkiewicz: Sztuka umierania.
Adam Ważyk: Rozmaitości.
Stefan Otwinowski: W Krakowie.
J Ż: Wystawa pejżaży śląskich.
ph: Przegląd prasy.
Noty.

NOWOŚCI WYDAWNICZE
Adolf RUDNICKI
WRZESIEŃ
Cena zł. 35 —
Tegoż autora:
Czysty nurt
Koń
Mjr. Hubert z Armii Andersa
Józefów
„KSIĄŻKA"

NOTY

Chwała uniwersalizmowi

W nr 72 „Tygodnika Powszechnego" pan **Jas.** cytuje artykuł Józefa Sieradzkiego:

„Naszym naczelnym dążeniem wychowawczym jest ugruntować świadomość narodową i przywiązanie do polskiej kultury i jej postępowych tradycji...".

Poczem **jas.** wydziwia, że takie stanowisko cjonalizmu. Oni zaś, katolicy z „Tygodnia Powszechnego" są bardzo postępowi, bowiem — pisze **jas.** —

„My bardzo wysoko cenimy świadomość narodową i przywiązanie do polskiej kultury. Ale ponad tymi rzeczami stawiamy chrześcijański porządek moralny...".

Różnica, jak widzimy nie wielka. Tylko, że pan **jas**, zgubił po drodze „postępowe tradycje" i zastąpił je chrześcijańskim porządkiem moralnym Ten zaś pozwala arcybiskupom na milczenie wobec popełnionej zbrodni, proboszczom na branie w niej udziału pośrednio, a Watykanowi na interwencje w sprawie Greisera i okazywanie sympatii wszystkim jawnym i skrytym ruchom faszystowskim. Chwała uniwersalizmowi obłudy, ciemnoty i krętactwa!

ph.

Uparty infułat

Kler słowacki — w ogromnej większości popierał usilnie politykę osławionego ks. Tiso i zapełniał szeregi jego stronnictwa „katolicko ludowego". Dzięki tej polityce Słowacja została wprawdzie ujarzmiona przez Hitlera i odegrała rolę jednego z narzędzi zbrodniczych celów Führera, ale duchowieństwo słowackie w zakresie wewnętrznym uzyskało całkowitą swobodę działania i cień najbardziej obskuranckiego klerykalizmu padał przez sześć lat na całe życie Słowacji.

Po wyzwoleniu kraju, rząd zmuszony był aresztować dwóch biskupów słowackich Busada i Wojtaszaka, gdyż ich profaszystowskie knowania zagrażały poważnie interesom odbudowującego się państwa. Gdy zwolniono tych dostojników kościelnych w kwietniu b.r. pierwszym ich krokiem było złożenie memorandum do Rady Narodowej w Bratysławie — w obronie zdrajcy Tiso i jego najbliższych współpracowników. Dla poparcia tych niezwykłych żądań, obrońcy słowackich renegatów sprowokowali burzliwe zajścia uliczne, które trzeba było uśmierzać przy pomocy policji i wojska.

Ostatnio, biskup Wojtaszak przypomniał się znowu opinii publicznej — i to w sposób naprawdę oryginalny. Oświadczył mianowicie dziennikarzom czeskim, że nadal uważa księdza Tiso za legalną głowę państwa słowackiego. Ten biskupi wybryk nabiera szczególnej wymowy w obliczu faktu, że ks. Tiso siedzi obecnie w więzieniu, oczekując na zasłużony od dawna wyrok rządu Republiki.

Rząd czechosłowacki pokwitował niesłychane wystąpienie faszysty w szatach biskupich pociągnięciem go do odpowiedzialności przed trybunał ludowy.

Nie wiemy jak będzie się bronił uparty biskup Wojtaszak. W każdym bądź razie mógłby na swą korzyść przytoczyć jedną okoliczność łagodzącą, że poglądy swoje wypowiedział przed dziennikarzami **czeskimi** — nie szukając — drogą potajemnych wywiadów — kontaktu z prasą zagraniczną.

bd

Drobne nieporozumienia

Ukazał się pierwszy numer dwutygodnika „Film". Zawartość numeru świadczy, że czasopismo ma znacznie wyższe aspiracje, niż analogiczne publikacje przed wojną, co zresztą jest zrozumiałe wobec radykalnej zmiany struktury kinematografii krajowej. Obok solidnych i poważnych informacji z zagranicy do najciekawszych pozycji należy trójgłos o filmie francuskim „Skarb rodziny Gupi" i wnikliwa rozprawka o celach filmowych powieści na przykładzie „Kraty" Gojawiczyńskiej. Fragment scenariusza „Iwan Groźny" Eisensteina, pisany stylem archaizującym, może zmylić czytelników, którzy dotąd nie mieli przed oczami próbki żadnego scenariusza. Czytając bowiem takie zdania jak: „Gniewnie słucha, stojąc w mroku, słów carowej Eufrozyna. Pod czarną chustkę ręką sięga. Na piersi czegoś szuka.." gotów pomyśleć, że od szyku słów w opisie zależy wartość filmu. Wobec czego musimy zapewnić czytelnika, że „Iwan Groźny" niczby nie stracił, gdyby było napisane po prostu: „Eufrozyna, stojąc w mroku, słucha gniewnie słów carowej. Sięga ręką pod czarną chustę. Szuka czegoś na piersi..."

W artykule wstępnym Jerzy Bossak formułuje aspiracje nowego czasopisma filmowego, które ma wykazać, że kino jest „nie tylko bezwitaminową pożywką łatwych prawd i kłamliwych wzruszeń, ale instrumentem upowszechnienia kultury i domeną prawdziwej twórczości". W imię tych obietnic prosimy więc redakcję o usunięcie ostatnich śladów przedwojennego stylu „Kina dla wszystkich". Można je znaleźć obok wzruszającej fotografii sprzed lat trzydziestu: „Iluż młodzieńców, układając misternie wąsy pod bindą, słało co rano gorące westchnienie pod adresem Thedy Bara, pierwszego wampa ekranu?" pyta kronikarz kinematografii. Możemy mu odpowiedzieć na to interesujące pytanie: ani jeden. Wszyscy bowiem młodzieńcy, układając misternie wąsy pod bindą, marzyli w owym czasie o Eleonorze Duse, a filmowymi aktorami nikt się nie interesował. Nie przesadzajmy, panowie filmowcy.

Nie udał się dowcip „Przekrojowi" na fotografii okładkowej. Przyprawiono Giocondzie brodę i tą dziwaczną podobizną zasypano cały kraj. „Dziennik Łódzki" zwrócił uwagę na niestosowność tego dowcipu. Zwłaszcza, że większość czytelników nie wie, jak naprawdę wygląda Monna Liza. Musimy wyręczyć „Przekrój". W rzeczywistości Monna Liza ma wąsy. Otrzymała je w podarunku na kilka lat przed wojną w Paryżu od pewnego surrealisty. Spóźniamy się, jak zwykle, ale co broda, to nie wąsy...

Ponure potknięcie na równej drodze zdarzyło się Włodzimierzowi Słobodnikowi w pierwszym numerze żywo redagowanego czasopisma satyrycznego „Rózgi". Przemawiając w imieniu szubienicy, która niecierpliwie czeka na wyrok przewlekłego procesu w Monachium, Słobodnik pisze:

Huśtałem Belgów i Polaków,
Francuzów, Żydów i Słowaków,
I mówię wam uczciwie, że tu
Brak mi niemiaszków do kompletu.

Wiemy, że przeczytawszy to świeżym okiem, poeta się poczciwie zawstydzi. Wolelibyśmy takich wyskoków nie notować.

awk

Kuthanomachia

Było to w czasach, kiedy po Warszawie jeździły jeszcze łapankowe budy i kiedy my wszyscy — literaci i malarze — „nienajgorzej żyliśmy sobie", według słów Eugeniusza Kuthana. W rzeczywistości, natomiast niejednokrotnie z narażeniem życia przebiegaliśmy ulice i zanosiliśmy nasze prace na Plac Trzech Krzyży, do niepozornej księgarenki, w której Kuthan targował się z nami do upadłego o każdy grosz. Wynik tych targów był, zresztą z góry przesądzony. Nie mogliśmy przecież jawnie pracować, ani wydawać. Ten więc kto kupował utwory na wydania powojenne, dyktował właściwie warunki. Było takich wydawców kilku: Gebethner, Arct, Fuksiewicz, Kawczyński, Galster. Nikt z nich jednak nie starał się wyzyskać sytuacji przymusowej, w jakiej znajdował się autor.

W tym właśnie czasie wzrosła w znaczenie przynajmniej finansowe, firma Kuthana, dzięki szczęśliwej tranzakcji zakupienia książek szkolnych, przeznaczonych przez Niemców do spalenia. Ogromne zyski postanowił Kuthan ulokować korzystnie w rękopisach i ilustracjach. Nie można się temu dziwić, gdyż prawo do utworu jest niezniszczalne, stanowi więc tym samym najlepszą i najpewniejszą lokatę. Mniej może pewnym było pozostawienie u wydawcy, który dotychczas niczym się nie wykazał — rękopisów i rysunków. W ten sposób ryzyko ponosili autorzy, nie zaś Kuthan, jak on to dzisiaj usiłuje przedstawić.

W ogóle Kuthan chce zrobić z siebie dobroczyńce, którego artyści, jakoby, nadchodzili ze swoimi utworami, a on ich wspomagał. Tak opisuje te sprawy w oburzającym liście, rozesłanym do władz, organizacji i czasopism, w związku ze sporem z jednym z pisarzy.

Nie miałem zamiaru występować przeciwko Kuthanowi z pretensjami materialnymi, które byłyby aż nadto uzasadnione, uważam jednak, że tworzenie legendy Kuthana — jagnięcia jest w wysokim stopniu szkodliwe.

Jak bowiem w rzeczywistości przedstawiały się umowy z Kuthanem? Za ilustrację do książki Jana Brzechwy „Za króla Jelonka" otrzymałem 8000 zł po długotrwałych targach. Praca nad tą książką trwała około trzech miesięcy i obejmowała 32 wielobarwne ilustracje i plansze, okładkę i t.zw. „forsatze". Było to w r. 1944, kiedy inni wydawcy płacili za taką pracę dwa do trzech razy więcej. Narzucając tak niskie honoraria Kuthan stale nadmieniał, że po wojnie dobrowolnie wyrówna je do normalnej wysokości. Jeżeli więc przyjęlibyśmy normalne honorarium za ilustrację w wysokości 5 proc. od ceny egzemplarza, jak się to dziś praktykuje, powinien był, na przykład, Kuthan za 10.000 nakładu ilustrowanej przeze mnie książki p.t. „Pan Drops i jego trupa", sprzedawanej po 300 zł, dopłacić mi 142.000 zł. Oczywiście nie tylko nie dopłacił mi tej, ani żadnej innej sumy, ale nawet, pomimo wielokrotnych upomnień, nie dał mi po dziś dzień przypadających z prawa egzemplarzy autorskich.

Muszę zaznaczyć, że byłem tym „najlepiej" płatnym grafikiem u p. Kuthana, inni zaś, jak np. Gronowski, osiągali zaledwie 3.000 zł, a Mackiewiczówna za zilustrowanie „Legend Warszawskich", książki bogato ilustrowanej, wydanej już w dwóch nakładach, otrzymała od Kuthana 2.000 zł i to za wieczyste prawa wydawnicze.

Opinia o postępowaniu Kuthana była między artystami zgodna i powszechna.

Dziś, za pomocą przeróżnych chwytów usiłuje Kuthan tę opinię zmienić. Oferuje, mianowicie, w wyżej wspomnianym liście, zwrot nabytych utworów, nie żądając nic wzamian od autorów.

Wobec tego zwracam się publicznie do p. Kuthana z propozycja odkupienia od niego za cenę trzykrotna praw do tekstu i moich własnych ilustracji do książek „Za króla Jelonka" i „Szelmostwa lisa Witalisa".

Szczegóły do omówienia, panie Kuthan.

Jan Marcin Szancer

PRZEGLĄD PRASY

Bardzo znamienny głos na marginesie dyskusji w sprawie dzisiejszej młodzieży inteligenckiej stanowi w Nr. 31 „Dziś i Jutro" artykuł Wojciecha Kętrzyńskiego p. t. „Zmarnować pokolenie?" Zgadzając się, że cenzus wykształcenia był dotąd w Polsce w dużej mierze uzależniony od cenzusu majątkowego, a przedtem pochodzeniowego, i przyznając, że „idący od dołu prąd, zrywający tamy broniące inteligencji, jako nielicznej kasty uprzywilejowanych, jest nietylko wyrazem sprawiedliwości społecznej, ale jest dla Polski koniecznością dziejową", autor żali się, że w parze z wysiłkami stworzenia nowej, o szerszą bazę opartej elity społecznej, idzie rzekomo niedopuszczanie do głosu wyselekcjonowanego jeszcze na starych zasadach, tym niemniej pożytecznego ze względu na swe kwalifikacje pokolenia młodzieży. Środowiska dążące do władzy nie mogą zapomnieć, że w swej obecnej większości obecna elita intelektualna wywodzi się z innego obozu". „Odczuwając potrzebę posiadania własnej i wiernej elity intelektualnej środowiska te wykazują skłonność do popierania rozwoju nowych sił intelektualnych, bardziej dbając o ich ilość, niż o jakość" Autor występuje przeciwko rzekomemu tymczasowemu zniesieniu cenzusu w wojsku, sądownictwie i na stanowiskach publicznych, twierdząc, że z chwilą wprowadzenia w życie zasady bezpłatnego, publicznego nauczania „walka przeciwko cenzusowi naukowemu przestaje mieć podstawy moralne" i zadaje pytanie „czy jednak zrobiono wszystko, by nadać tym posunięciom charakter tymczasowy, by nie obniżać autorytetu wykształcenia, nie zdewaluować nauki i studiów? Co zrobiono by zachować należytą pozycję społeczną tych, którzy kosztem często najwyższych ofiar zdobywali szczebel po szczeblu pełne wykształcenie?"

Wydaje nam się, że obawy autora są niesłuszne, a rozważania jego cechuje typowa tak znamienna dla myśli polskiej połowiczność i kompromisowość w uznaniu potrzeby reform. Pomijając już fakt, że cały jego wywód jest charakterystycznym przykładem na to, jak trudno jest rozdzielić „polską rację stanu", na którą autor się powołuje, od obrony interesów tej warstwy, którą się reprezentuje (w tym wypadku owego „pokolenia" rzekomo idącego na marne). Stwierdzić należy, że cała próba obrony owego pokolenia, jako pewnej konkretnej pozycji w naszej rzeczywistości, w ujęciu Kętrzyńskiego zdaje się wisieć w powietrzu. Autor nie zdaje sobie chyba sprawy z wywołanej wojną kolosalnej luki w doprowadzaniu nowych kadr fachowców, jeśli w zarządzeniach dotyczących pewnych funkcyj publicznych widzi atak na mityczną, tak, powtarzamy, mityczną „elitę intelektualną" pokolenia którego broni. Gdzież jest ta „elita"? Gdzie są ci ludzie? (Zwracamy uwagę, że autor nieznacznie od przytoczenia, że o wykształceniu decydował cenzus majątkowy, przechodzi do twierdzenia, że chodzi mu o tych, co wykształcenie zdobywali „kosztem najwyższych ofiar"), którzy, mając pełne wykształcenie i kwalifikacje nie mogą dla siebie w Polsce znaleźć miejsca, pozwalającego im zwalczać dyletantyzm i nieuctwo tych, nad którymi rzekomo górują? Co sprawia, że mają się „zmarnować"? Czy przypadkiem nie nieuzasadniona pretensja do specjalnego ich popierania kosztem tych, którym dotąd poparcia odmawiano? A przecież popierać, to znaczy popierać realnie i stwarzać takie warunki, żeby reforma była reformą w rzeczywistości a nie na papierze. Dlatego „bezpłatne publiczne nauczanie" jest fikcją, jeśli nie łączy się z faktycznymi posunięciami, umożliwiającymi jego realizację w danym układzie społecznym i nie odbiera podstaw moralnych walce — nie z cenzusem naukowym w ogóle, ale z wyłącznością cenzusu naukowego zdobytego w warunkach, utrudniających zdobycie go znakomitej większości społeczeństwa. Czyż „elita intelektualna", która wykazuje taką, jak w artykule Kętrzyńskiego, paniczną obawę przed konkurencją „nie-intelektualnej, nie-elity" nie pisze sama na siebie wyroku?

W następnym (32) numerze „Dziś i Jutro" W. Bieńkowski w artykule pt. „Ani antysemityzm ani filosemityzm" stara się raz jeszcze „pryncypialnie" rozważyć zagadnienie żydowskie — niestety z nijakim rezultatem. Obok ciekawego materiału wspomnieniowego, który czyni ekspozycję artykułu interesującą i wartą przeczytania, nie wprowadza on żadnych wniosków, które nie byłyby próżnym mieleniem niepotrzebnych słów. Zdania takie: „polityka narodu żydowskiego, jak polityka każdego innego narodu może być dobra lub zła. Ze wspólnego interesu polskiego i żydowskiego wynika postulat, aby jakość polityki narodowej społeczeństwa żydowskiego w Polsce pokrywała się z naturalnymi (?) celami narodu polskiego, z jego linią rozwojową w zakresach: moralnym, kulturalnym i materialnym" — nie tylko nic nie znaczą (jaka jest „polityka narodowa społeczeństwa żydowskiego"? Jakie są „naturalne" cele narodu polskiego?) Ale podobnie jak szereg następnych, stanowiących konkluzję artykułu, są o tyle szkodliwe, że zacierają kontur zagadnienia bardzo dziś konkretnego. Czysto werbalne odżegnywanie się od pojęć antysemityzmu czy filosemityzmu albo troska o to, czy antysemityzm w Polsce ma podłoże niechęci rasowej czy go nie ma, plątanie się między określeniami z dziedziny moralności i stwierdzanie, że „platformą taré (?) winna być arena polityczna" wskazuje na zupełną bezradność autora w stosunku do zagadnienia. Bezradność albo unikanie wypowiedzi jasnej i wyraźnej.

Ostatni (33) nr. „Tygodnika Powszechnego" przynosi na wstępie art. ks. J. Piwowarczyka p.t. „Wychowanie nowego człowieka" w którym autor z „prawdziwą satysfakcją" notuje fakt dyskusji o wychowaniu na łamach „Kuźnicy" uważając, że już samo jej podjęcie dowodzi, iż „dialektyka marksistowska nie zdołała uniknąć prawdy o człowieku, o jego wolnej woli, zdolności do kierowania sobą o samodzielności w stosunku do warunków gospodarczych". Ks. Piwowarczyk stwierdza, że rzuconemu — jak przyznaje —„przez marksistów" hasłu, by „człowiekowi zwrócić godność sponiewieraną przez faszyzm", zadość czyni jedynie wychowanie personalistyczne w duchu personalizmu katolickiego. Autor polemizuje ze zdaniem S. Żółkiewskiego o braku pozahistorycznych norm moralnych i stwierdza, że wychowanie moralne musi być oparte o religię, jako „jedyny argument, który działa na duszę jednostek". Spustoszeń powojennych nie da się zlikwidować inaczej, niż przez uczynienie ludzi z powrotem chrześcijanami, a uczynić to może jedynie „personalizm polegający na twórczości indywidualnej i na służbie społecznej". Na tym punkcie spotyka nas zawód — pisze ks. Piwowarczyk „ze strony lewicy polskiej. Spodziewaliśmy się po niej, że w nowych warunkach, które ona tworzy, zaakcentuje prawa osoby ludzkiej, jako najważniejsze. Wszak walczyła o nie dawniej, a walczyła z dużym poświęceniem".

Jest rzeczą charakterystyczną, że słowa uznania dla walki o prawa osoby ludzkiej lewica otrzymuje od przedstawiciel kościoła właśnie dopiero teraz, kiedy osiągnęła już zwycięstwo i kiedy organizuje jego owoce. Wówczas kiedy walczyła o te prawa, kościół walczył z indywidualizmem jej bojowników w duchu „społecznej karności". To co ma lewica do zarzucenia kościołowi w zakresie wychowania, wynika właśnie stąd, że nie uczestniczy on w walce o postęp, występuje z jego hasłami wtedy, kiedy jest to już wyważanie drzwi otwartych. Nikt nie negował na lewicy roli wychowania w ogóle, ale autor artykułu winien zwrócić uwagę na skromny a znamienny fakt, że mówiąc o wychowaniu nie głosimy abstrakcji, nie obracamy się w próżni, lecz dyskutujemy o szkole, a zatem o instytucji, o narzędziu, konkretnie, w danych historycznych warunkach, oddziaływującym na człowieka. Ks. Piwowarczyk pisze „motyw nadprzyrodzoności jest najsilniejszym motywem moralnym i możliwym dla każdej duszy". Nie możemy zgodzić się z tym zdaniem. Nie zawsze jest najsilniejszym, nie dla każdej duszy jest możliwym i zależy właśnie od uwarunkowania historycznego.

W „Odrodzeniu" (Nr. 33) K. W. Zawodziński uzupełnia swymi uwagami opublikowane w „Twórczości" i w „Kuźnicy" rozprawy K. Wyki i A. Stawara na temat twórczości Henryka Sienkiewicza, podkreślając „niewyblakłe walory mistrzostwa Sienkiewicza jako powieściopisarza"; Tadeusz Breza dowcipnie i interesująco opowiada „jak został człowiekiem pióra".

rm

CENY OGŁOSZEŃ: 1 kolumna zł 60.000; 1/2 kolumny zł 30.000; 1/4 kolumny zł 15.000; 1/8 kolumny zł 8.000; 1/16 kolumny zł 5.000; Drobne ogłoszenia 25 zł 1 mm na 1 szpaltę.

Redaguje Zespół „Kuźnicy". Redaktor Naczelny: Stefan Żółkiewski.
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.

Adres redakcji i administracji: Piotrkowska 96, tel. 205-42.

D—09339

Wydawca: Zespół „Kuźnicy". — Drukarnia Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik" Nr. 4, ul. Żwirki 2.